NR 1 (6) // 07-13. 01. 2022 // ISSN 2720-3700 // CENA 5,39 zł (w tym 8% VAT)

zawsze Pomorze

NIEZALEŻNY TYGODNIK REGIONALNY

PISMO TWORZONE PRZEZ BYŁYCH DZIENNIKARZY DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO

Fot. Karol Makurat

Konflikt w PiS na Pomorzu. Horała kontra Płażyński

Poseł Kacper Płażyński wystąpił po raz kolejny w nietypowej roli - sygnalisty w swojej partii. Ostatnio złożył interpelację z pytaniem o transparentność umów zawartych przez Centralny Port Komunikacyjny, którego rządowym pełnomocnikiem jest Marcin Horała. // 10

ISSN 2720-3700 01
9 772720 370008

ZAWSZE ZDROWIE // 4-5
Medycy przed wyborem: szczepić się czy odejść

ZAWSZE EDUKACJA // 6-7
Przemysław Staroń: Szkoła jest przesiąknięta strachem

ZAWSZE SAMORZĄD // 8-9
Samorządowcy dostali podwyżkę. Teraz mają kłopot

ZAWSZE SPORT // 20-21
Pamiętajmy, że ciało to świątynia duszy

Zawsze Pomorze
NIEZALEŻNY TYGODNIK REGIONALNY
ISSN 2720-3700

REDAKCJA
Redaktor naczelny
Mariusz Szmidka

Zastępca redaktora naczelnego
Bogdana Wachowska

Szef działu internetowego
Arkadiusz Kosiński

Sekretarz redakcji
Dariusz Szreter

Dyrektor artystyczny
Krzysztof Ignatowicz

Zespół
Patrycja Cybulska
gospodarka
Małgorzata Gradkowska
edukacja
Dorota Abramowicz
zdrowie
Ryszarda Wojciechowska
polityka i lifestyle
Gabriela Pewińska
kultura
Jacek Wierciński
policja, prokuratura, sąd
Adam Mauks
sport, społeczeństwo
Karol Uliczny
Trójmiasto, komunikacja, samorząd
Krystyna Paszkowska
Kociewie
Piotr Piesik
Powiśle
Olek Knitter
Kaszuby, Ziemia Słupska
Karol Makurat
Fotoreporter
Anna Gawińska
Social Media
Paweł Konieczny
redaktor techniczny

Biuro reklamy
Ogłoszenia, nekrologi, artykuły sponsorowane
tel. +48 602 236 784
Małgorzata Borzych
dyrektor Biura Reklamy
Ewa Waśkowicz-Rojek,
Agnieszka Bartoszuk-Ścibior

Dzwońcie, piszcie, wysyłajcie zdjęcia oraz wideo na adres e-mail:
redakcja@zawszepomorze.pl
tel. +48 881 711 011

Jeśli chcesz zamówić prenumeratę, napisz na prenumerata@zawszepomorze.pl

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione

Wydawca:
Fundacja A1 PRESS-Dziennikarze dla Pomorza
Dom Technika NOT
ul. Rajska 6, 80-850 Gdańsk

Fot. Karol Makurat

2022. Czy czeka nas rok podwyżek, rosnącej inflacji i uczenia się zawiłości „Polskiego Ładu"?

Pewnie wszyscy zastanawiamy się, jaki będzie ten właśnie rozpoczęty, 2022 rok... Chcielibyśmy, by nasze życie się poprawiło, by pozbyć się dotychczasowych kłopotów i problemów, a zrealizować swoje marzenia. To motywuje do działania, daje nadzieję na zapewnienie sobie takiej przyszłości jakiej oczekujemy. Jednak nie zawsze jest to możliwe. Na wiele spraw nie mamy wpływu. Jak choćby na podwyżki cen energii, gazu, a co za tym idzie żywności i usług. Czy też na rosnącą inflację, która - wg prezesa NBP - w czerwcu tego roku osiągnie poziom powyżej 8 procent. To obecnie najgorętszy temat w polskich domach. Wciąż ogromnym problemem jest pandemia koronawirusa i rosnąca liczba zgonów. Nikt nie wie, czy w roku 2022 uporamy się z tym wirusem. Obyśmy znowu nie musieli przyglądać się ekspansji wariantu omikron i wypatrywać kolejnych mutacji koronawirusa.
W nowym roku wszedł w życie "Polski Ład", który m.in. likwiduje składkę zdrowotną do odliczenia, wprowadza wyższą kwotę wolną od podatku i zwalnia z PIT dla rodziny 4+. Na razie jest więcej chaosu i obaw niż widocznych korzyści. Nauczyciele i służby mundurowe – na skutek błędnego naliczenia zaliczek na podatek dochodowy - już dostały mniejsze wypłaty. Rząd zapowiedział zmianę w rozporządzeniu, by błąd naprawić. Coraz bardziej patrzymy na politykę fiskalną państwa i zastanawiamy się nad tym, na co idą nasze podatki. I bardzo dobrze. Bo w końcu to obywatele budują sukces gospodarczy swojego kraju. W sporcie największymi bodaj wydarzeniami będą Zimowe Igrzyska Olimpijskie 2022 w Pekinie (4–20 lutego) oraz Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej 2022 w Katarze (21 listopada–18 grudnia). Po raz pierwszy w historii mundial odbędzie się nie latem, lecz późną jesienią, co ma związek z temperaturami panującymi na Bliskim Wschodzie. W polityce też może się wiele wydarzyć. Jeśli nie dojdzie do przedterminowych wyborów, to będzie rok bez wyborów. Dopiero w roku 2023 czekają nas wybory parlamentarne i samorządowe. Niestety... Jedno jest pewne: będzie to bardzo ciekawy rok. Zdrowia i dbajcie o siebie.

Mariusz Szmidka
redaktor naczelny

Rysuje Wojciech Zimiński

KRAJ//

Polski Ład i niższe pensje nauczycieli. Będzie korekta

Nauczyciele alarmują: - Polski Ład zabrał nam pensje! Rzecznik rządu Piotr Mueller przeprasza za niższe styczniowe wypłaty. Winę zrzuca na księgowych, ale obiecuje: - Dokonamy pewnych korekt, aby osoby, które otrzymały niższe wynagrodzenia uzyskały wyrównanie już w lutym - zapewnia.
To reakcja na zalew doniesień o niższych pensjach nauczycieli po wejściu w życie Polskiego Ładu. Na konferencji prasowej rzecznik przepraszał za "nieścisłości legislacyjne".

POMORZE //

To drzewo ma ponad tysiąc lat i pochodzi z Kociewia

Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku pokaże zwiedzającym niezwykle cenne fragmenty czarnego dębu.
Mają ponad tysiąc lat i pochodzą z Kociewia – ze wsi Wielkie Walichnowy. Do muzeum trafiły dzięki Mariuszowi Śledziowi, znanemu kociewskiemu regionaliście.

KASZUBY //

We wsi Ostrowite, w gminie Chojnice, zamieszkała rodzina repatriantów z Kazachstanu

GDAŃSK //

Kolędujmy razem z artystami Cappelli Gedanensis

Co roku w okresie świątecznym Cappella Gedanensis zaprasza mieszkańców Pomorza na koncerty kolęd. Najbliższy już w niedzielę. Cappella Gedanensis wystąpi pod batutą znakomitej, światowej sławy dyrygentki Agnieszki Franków-Żelazny. Podczas koncertu wysłuchamy kolęd z najnowszej płyty w aranżacji Rafała Kloczko, dyrektora Filharmonii Zielonogórskiej. Kolędy dla Gdańska, 9 stycznia, godz. 17:00. Sala koncertowa Cappelli Gedanensis (Kościół Zielonoświątkowy Zbór Radość Życia) przy ul. Menonitów 2a.

ZIEMIA SŁUPSKA //

Mobilny urzędnik w gminie Człuchów

Mieszkańcy gminy Człuchów, którzy nie mogą osobiście udać się do urzędu, mogą od 1 stycznia liczyć na wizytę w domu mobilnego urzędnika. Usługa jest skierowana do osób, które z powodu niepełnosprawności lub wieku nie są w stanie dotrzeć do Urzędu Gminy samodzielnie.

GDAŃSK//

W Teatrze Miniatura spektakl o Diable, który przechodzi kryzys zawodowy

REKLAMA

Albo igła, albo za drzwi? Za dwa miesiące wszyscy medycy z ostaną postawieni przed wyborem: s zczepić się czy odejść

POMORZE // Bezpieczeństwo pacjentów jest najważniejsze. Od 1 marca personel medyczny powinien dysponować świadectwem zaszczepień przeciw Covid-19. Słowo "powinien" jest w tym miejscu kluczowe

Dorota Abramowicz
d.abramowicz@zawszepomorze.pl

Rozporządzenie ministra zdrowia ani nie uregulowało, jak pracodawca ma to zweryfikować, ani co zrobić z niezaszczepionym lekarzem czy pielęgniarką. Bo wyrzucenie z pracy, przy obecnych brakach kadrowych, może być niekiedy ryzykowne.

Maria jest pielęgniarką w jednym z pomorskich szpitali. Przeszła covid, potem nie zaszczepiła się. Kiedy przed kilkoma miesiącami dyrekcja placówki nakazała doszczepienie się takim, jak ona, pracownikom, poszła na zwolnienie lekarskie. Nie musiała przy tym oszukiwać, po kilkudziesięciu latach pracy jest schorowanym człowiekiem. Kilka dni później odebrała telefon ze szpitala. Wręcz błagano ją o powrót, kazano zapomnieć o wcześniejszym nakazie. Wróciła.

Takich, jak Maria, w kraju jest więcej. Z grudniowych danych Ministerstwa Zdrowia wynika, że na 674,3 tys. pracowników medycznych zaszczepiło się w pełni przeciw COVID-19 560,7 tys. osób, czyli 83,1 proc. Najwięcej lekarzy (92 proc.), nieco mniej dentystów (87 proc.), 82 proc. położnych i 81 proc. pielęgniarek i farmaceutów.

Tuż przed świętami resort zdrowia wprowadził obowiązek poddania się szczepieniu przeciwko COVID-19 przez osoby wykonujące zawód medyczny oraz pozostały personel zatrudniony w podmiotach wykonujących działalność leczniczą. Decyzję ministerstwa w pełni wsparły Samorządy Zawodów Medycznych, które zarekomendowały szczepienie ochronne jako podstawę profilaktyki związaną ze zwalczaniem pandemii.

Rozporządzenie wyznacza graniczny termin spełnienia obowiązku do 1 marca. W sytuacji, gdy trzeba czekać trzy tygodnie na drugą dawkę szczepionki, a potem jeszcze dwa tygodnie na nabycie odporności oznacza to, że niezdecydowani powinni już teraz ustawiać się w kolejkach do szczepień.

Fot. Karol Makurat

Pytanie, czy wszyscy zechcą.

Lepiej niż w Polsce?

Sprawdzenie, ilu medyków z naszego województwa powinno jeszcze zgłosić się do punktów szczepień, jest bardzo trudne. Dr Jerzy Karpiński, pomorski lekarz wojewódzki nie ma informacji na ten temat. Przypomina jedynie, że stopień wyszczepienia mieszkańców Pomorza należy do najwyższych w kraju.

- Izba Lekarska nie dysponuje takimi danymi - mówi dr Dariusz Kutella, prezes Okręgowej Izby Lekarskiej w Gdańsku. - Samorząd lekarski nie jest żandarmem, który ma pilnować, kto się zaszczepił, a kto nie. To obowiązek ustawodawcy, który wydał takie rozporządzenie.

Według Anny Czarneckiej, przewodniczącej Izby Pielęgniarek i Położnych w Gdańsku można mówić o 5-7 procentach niezaszczepionych pielęgniarek.

Małgorzata Pisarewicz, rzeczniczka Szpitali Pomorskich (obejmujących dwie placówki w Gdyni, jedną w Wejherowie i szpital zakaźny w Gdańsku) tłumaczy: - Nie jesteśmy w obecnej chwili w stanie sprawdzić, kto jest, a kto nie jest zaszczepiony. Będziemy na pewno namawiać pozostałych pracowników do szczepień. To jedyna możliwość, by czuć się bezpiecznie, szczególnie w szpitalu.

- Z informacji, które zebralem od zarządzających szpitalami mogę potwierdzić, że obecnie w większości podmiotów personel w zdecydowanej większości, z reguły w ponad 90 proc. został zaszczepiony - przekazuje dr Tadeusz Jędrzejczyk, dyrektor Departamentu Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego. - A oddziały ze 100 - procentowym odsetkiem zaszczepionych nie są rzadkością. Odnotowano dosłownie pojedyncze osoby, które zapowiedziały rezygnację, jeśli zostaną fizycznie zmuszone do przyjęcia szczepionki. Warto wszakże podkreślić, że w praktyce oznacza to rezygnację z wykonywania zawodu.

Prosić o paszport bez łamania prawa

Obowiązek szczepień obejmuje także personel przychodni. Dr Andrzej Zapaśnik, prezes Przychodni BaltiMed i zarazem ekspert Federacji Porozumienie Zielonogórskie podkreśla, że wszyscy pracownicy przychodni BaltiMed są zaszczepieni co najmniej drugą dawką.

- Uważam, że niezaszczepieni pracownicy medyczni powinni być odsunięci od pracy z pacjentem - mówi dr Zapaśnik. - Nie powinniśmy ulegać szantażom osób niezaszczepionych. Problemem pozostaje jednak zweryfikowanie danych o szczepieniu. Jako kierownicy przychodni powinniśmy mieć możliwość wglądu do paszportów covidowych. Oczywiście, możemy pracownika sprawdzić w systemie. Pyta pani jak? Znamy numer PESEL, wchodzimy na stronę gabinet.gov.pl. Jest to jednak działanie nieformalne. Myślę, że kwestia weryfikacji powinna zostać jak najszybciej obudowana jakimś rozporządzeniem Ministra Zdrowia, który wyjaśni, jak mamy egzekwować realizację tego obowiązku bez łamania prawa.

Fot. Karol Makurat

Na razie szpitale z wolna przygotowują się do wejścia w życie resortowego przepisu. - W pierwszej kolejności niezwłocznie poinformowano wszystkich pracowników (zarówno wykonujących zawód medyczny jak i inny) o wprowadzeniu w drodze rozporządzenia obowiązku poddania się szczepieniom do dnia 1 marca 2022 r. - mówi - Katarzyna Brożek, rzecznik prasowy spółki Copernicus, kierującej szpitalami im. Kopernika i na gdańskiej Zaspie. - Z uwagi na brak wyraźnego przepisu regulującego sposób weryfikacji spełnienia przedmiotowego obowiązku rozważane są możliwe ścieżki postępowania m. in. wezwanie do okazania dokumentu potwierdzającego odbycie cyklu szczepień czy obowiązek przedstawienia tego dokumentu przy zatrudnianiu nowych pracowników.

Pozostaje jeszcze pytanie, co zrobić z tymi, którzy się nie zaszczepią. Rozporządzenie przewiduje jedynie obowiązek poddania się szczepieniu. - Niestety, minister nie uregulował wprost sposobu weryfikacji tego obowiązku przez pracodawcę jak również ewentualnych konsekwencji jakie powinny być wyciągnięte wobec pracownika niezaszczepionego - przyznaje Katarzyna Brożek. - Wielu pracodawców oczekuje w tym zakresie na jednoznaczne stanowisko odpowiednich organów państwowych np. Państwowej Inspekcji Pracy.

Niezaszczepieni na oddział covidowy?

Część dyrektorów szpitali uważnie przygląda się Uniwersyteckiemu Centrum Klinicznemu, które o kilka miesięcy wyprzedziło pomysł ministra zdrowia. Jakub Kraszewski, dyrektor UCK w Gdańsku, już na początku 2021 roku dał się poznać jako aktywny propagator akcji szczepień przeciw COVID-19.

- Pracownicy UCK bardzo chętnie brali udział w akcji szczepień od samego jej początku - twierdzi Łukasz Wojtowicz z Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego. - W naszym szpitalu pracuje ponad 4 tysiące osób i niemalże wszyscy zdecydowali się zaszczepić. Osoby niezaszczepione stanowią wręcz promil wszystkich pracujących. Od samego początku byliśmy szpitalem węzłowym i mamy punkt szczepień, więc żadne specjalne działania w tej kwestii nie są potrzebne. Dodatkowo od 10 listopada ubiegłego roku w UCK obowiązuje zarządzenie, które mówi o tym, że osoby o nieznanym statusie szczepienia odsunięte są od bezpośredniej pracy z pacjentem do innych obowiązków. Rozwiązania, które od marca będą stosowane na poziomie krajowym, w UCK obowiązują już od dwóch miesięcy.

Weryfikację przeprowadzano na zasadzie dobrowolności. Pracowników proszono o dobrowolne przedstawienie dokumentu potwierdzającego szczepienie. Osoby, które tego nie zrobiły, zostały oddelegowane od bezpośredniej pracy z pacjentami do innych obowiązków. Jakich? Dyrektor Jakub Kraszewski w udzielanych w listopadzie wywiadach powtarzał, że ci, którzy nie przyjęli szczepionki przeciw koronawirusowi, mogą pracować... na oddziałach covidowych, gdzie leżą pacjenci już zarażeni. Tam nie stwarzają dla nich zagrożenia.

- Ma rację - słyszę od jednego z rozmówców. - Ci, którzy nie są szczepieni według mnie nie powinni mieć żadnego problemu, by pracować z pacjentami, którzy mają covid.

Pozostali nie powinni mieć prawa przebywać przy niezakażonych, obciążonych problemami zdrowotnymi pacjentach.

Anna Czarnecka przypomina, że kiedy dyrektor UCK ogłosił rozporządzenie, wyprzedzające decyzje ministerialne, okazało się, że w szpitalu pracowało niespełna 80 niezaszczepionych pielęgniarek i położnych. Część z nich zdecydowała się na szczepienia. Ale nie wszystkie.

- Propozycja, by przeniosły się na oddziały covidowe, była co najmniej dyskusyjna - mówi przewodnicząca Izby Pielęgniarek i Położnych. - Dużo zgłoszeń w tej sprawie trafiło do naszej izby. Według opinii prawnej samo odsunięcie od pracy niezaszczepionych można podciągnąć pod przepisy BHP. Jednak już kierowanie na oddział covidowy takiej osoby może odbić się na pacjentach. Nie można narażać ich na kontakt z niezadowolonym personelem. To zbyt delikatna struktura. A z drugiej strony ten sposób karania pracownika automatycznie przekształca się w L-4. Ludzie będą uciekać na zwolnienia lekarskie.

Bez motywacji

Czy jest inny sposób - oprócz prezentowania dowodów naukowych - na motywowanie białego personelu do szczepień? Niektórzy twierdzą, że nic tak dobrze nie działa, jak pieniądze.

- Co można jeszcze zrobić oprócz odsuwania takiej osoby od pracy? - zastanawia się dr Andrzej Zapaśnik. - Gdybym wiedział, że w mojej przychodni ktoś z pracowników nie chce przyjąć szczepionki przeciw COVID-19, zabrałbym mu dodatek motywacyjny. A jest to istotna kwota. Każda osoba, która się nie zaszczepi, powinna mieć świadomość, że poniesie z tego tytułu konsekwencje.

W ostatnich dniach dyrekcja szpitala w Tarnowie (jak podaje "Gazeta Krakowska") uzależniła wypłatę rocznej premii dla pracowników od przyjęcia co najmniej jednej dawki szczepionki przeciw Covid-19 do 10 stycznia. Nie będzie także podwyżek dla uchylających się od szczepień. Dodatkowym obciążeniem ma być także obowiązek poruszania się po szpitalu ze stale założonymi maseczkami chirurgicznymi.

Jasne przesłanie płynie z komunikatu, przesłanego nam przez rzecznika UCK: - Od dnia 1 marca 2022 r. w stosunku do osób świadczących pracę na rzecz UCK a które do tej pory nie poddały się szczepieniu przeciwko COVID-19, zostaną podjęte działania dyscyplinujące, do rozwiązania umowy będącej podstawą świadczenia pracy – włącznie. Liczymy jednak na refleksję ze strony osób niezaszczepionych – w końcu chodzi o ich zdrowie, zdrowie ich współpracowników i najbliższych.

Nie każdego dyrektora szpitala może być jednak stać na twarde stawianie warunków. Zwłaszcza w najbliższych miesiącach, gdy w szpitalach i przychodniach będzie potrzebna każda para rąk. - Liczę, że w grupie medyków będą przeważać osoby zaszczepione - mówi Anna Czarnecka. - Z drugiej strony nie mogę zgodzić się z opinią ministra zdrowia, który na pytanie dziennikarza o osoby niechętne szczepieniom, rzucił - niech odchodzą. Trudno mi sobie wyobrazić, by te 5-7 proc. pomorskich pielęgniarek odeszło z pracy.

Już teraz na oddziałach szpitalnych układanie grafików przypomina sudoku. Oddziałowe i naczelne pielęgniarki stają na głowie, by była ciągłość opieki.

Trwa walka o ludzi. Coraz bardziej zmęczonych pandemią i bałaganem w systemie opieki zdrowotnej. - Tu już nawet nie chodzi o te szczepienia, ale o to, że coraz więcej z nas ma dosyć - rzuca zdenerwowana pani Iwona, pielęgniarka z Gdyni. - Wyrzucą mnie, pójdę na kasę do Biedronki. Bez dyżurów, patrzenia na śmierć, cierpienie, a za niezłe pieniądze.

Coraz więcej pielęgniarek deklaruje, że w styczniu skorzysta z uprawnień emerytalnych. Nie chcą się narażać, nie chcą szarpać się na nocnych dyżurach. Część zawiesi prawo wykonywania zawodu, inne odejdą na emeryturę.

Dlatego - być może - znajdą się tacy managerowie, którzy ulegną szantażowi osób niezaszczepionych, uznając, że nie mogą sobie pozwolić na rozstanie z lekarzem lub pielęgniarką. Bo wirus kiedyś odejdzie, ale czy pielęgniarka wróci? Jak ominą rozporządzenie ministra? No cóż, obchodzenie przepisów, to polska specjalność.

Przemysław Staroń: Obecna władza chce szkole patrzeć na ręce. A szkole potrzeba rękę podać

Małgorzata Gradkowska
m.gradkowska@zawszepomorze.pl

POMORZE // Minister Czarnek z edukacji robi indoktrynację. Szkoła jest przesiąknięta strachem nauczycieli i uczniów – mówi Przemysław Staroń, psycholog i pedagog, autor książek „Szkoła bohaterek i bohaterów", Nauczyciel Roku 2018, który w wakacje złożył wypowiedzenie po 11 latach pracy w szkole. - Nie mam wątpliwości, że polska szkoła może być fantastyczną szkołą

Fot. Dawid Linkowski/ Arch. P. Staronia

Przemysław Staroń: Nie pracuję w szkole, ale nadal jestem nauczycielem

Nauczyciel Roku nie jest już nauczycielem. Ale to, co dzieje się w szkołach i wokół edukacji, nadal pana interesuje? Uczestniczy pan w protestach przeciw procedowanemu w Sejmie lex Czarnek?

Nie jestem nauczycielem w takim sensie, że przestałem uczyć w szkole, w której pracowałem. Nie z powodu, cytując moich hejterów: „ucieczki przed obecną władzą", „celebrytwa", „pójścia w komercję", „politykowania" czy „braku czasu". Po prostu nie byłem w stanie dłużej psychicznie dźwigać dawania mi do zrozumienia, że jestem w tej szkole persona non grata, i po konsultacji z lekarzami i prawnikami złożyłem wypowiedzenie. I to jest w zasadzie jedyna zmiana, bo na każdym możliwym poziomie nauczycielem jestem. Edukacja jest esencją mojego życia. Jako nauczyciel etatowy robiłem wszystko, co się dało, żeby pomóc tym, których miałem zaszczyt uczyć. Równolegle starałem się używać swojego głośnego mikrofonu, żeby moja pomoc docierała do wszystkich, którzy tego potrzebują. W pewnym momencie zrozumiałem, że trzeba użyć jeszcze silniejszych narzędzi, i pojąłem, że istnieją dwa skuteczne narzędzia, których trzeba użyć i ja mogę to zrobić: napisanie mądrych, uczących fundamentów i realnie docierających do ludzi książek oraz zaprojektowanie naprawy całego systemu edukacji. Stąd "Szkoła bohaterek i bohaterów" - dwie już części. Stąd dołączenie do Szymona Hołowni i praca programem edukacji, którą właśnie finalizujemy. Ale nieustannie pracuję z młodzieżą i z dorosłymi - tylko kontekst nieco się zmienił. Zatem edukuję na wszystkich poziomach i cały czas jestem nauczycielem, nauczycielem par excellence. I dlatego w protesty angażuję się z całą mocą.

Jak pan ocenia szkołę, tę tworzoną według ministra Czarnka?

To, co robi Czarnek, jest tylko i aż czubkiem góry lodowej. Proces rozkładu i gnicia edukacji trwa od wielu lat. Gdyby po 1989 roku porządnie zaprojektowano system edukacji, żylibyśmy w innym świecie. Pewnie nawet nie mielibyśmy zwycięstwa PiS w 2015. Ale przez ponad dwie dekady traktowano edukację po macoszemu. Od 2015 rozpoczęła się już jej systemowa dewastacja, a w ostatnich kilkunastu miesiącach tempo destrukcji znacząco przyspieszyło. Najpierw rozpoczęto „deformę" w wykonaniu Anny Zalewskiej, czyli zmianę kompletnie nieprzemyślaną i nieodnoszącą się do istoty problemów edukacji. Zalewska pogardzała głosem rodziców, nauczycieli - co było widać podczas strajku - i ludzi młodych. Pozostawiła szkoły w kompletnym chaosie. Potem pojawił się Dariusz Piontkowski, minister-widmo, który całkowicie zawalił sprawę zdalnej edukacji i wsparcia psychologicznego dla wszystkich jej uczestników. Robiono nie to, co trzeba, podejmowano decyzje motywowane interesem partyjnym i wynikłe z totalnego dyletanctwa, zamiast wsłuchać się w głos ekspertów i ekspertek - i działać w oparciu o fakty, zwłaszcza potrzeby. I w ten sposób edukacja zdalna stała się horrorem.

Sama w sobie żadnym horrorem nie jest.

Dokładnie tak. Da się ją dobrze ogarnąć, także systemowo. Mamy tego przykłady. A to oznacza - widać to w wielu obszarach życia społecznego - że w innych krajach poradzono sobie z zarządzaniem w czasie pandemii znacznie lepiej niż w Polsce. Edukacja zdalna siłą rzeczy w realiach pandemii jest formą, która w ogóle umożliwia realizację toku nauczania. Wystarczyło po prostu zrobić to dobrze, a informacje, jak to zrobić, płynęły z naszych, eksperckich ust nieustannie. Ale ta władza gardzi rzetelną wiedzą. I tak minister przerzucił odpowiedzialność na dyrekcje szkół, nie dając im żadnych faktycznie skutecznych narzędzi ani żadnej realnej pomocy. I wtedy, na tę rozbitą, poturbowaną, ledwo dyszącą już edukację padł cień Czarnka.

Ten wybór był dla wielu szokujący.

Dla mnie nie. Dał się nam już dobrze poznać jako wojujący doktryner. I kogoś takiego PiS potrzebował. Widmowy Piontkowski był w oczach Kaczyńskiego za słaby, aby realizować w tak kluczowym obszarze, jakim jest edukacja i nauka, jego plan orwellizacji rzeczywistości. Dlatego prezes powołał swojego żołnierzyka, umiejącego zarówno w fanatyzm, jak i w butę. I proszę. Edukacja - coś, co powinno wyposażać człowieka w narzędzia do niezależnego myślenia, szacunek dla nauki, umiejętność rozumienia rzeczywistości i radzenia sobie z życiem - dostała się w ręce kogoś, kto dąży do indoktrynacji i podporządkowania. Czarnek ma być właśnie kimś takim. I jest. Jest kimś, kto przepoczwarza edukację, robiąc z niej indoktrynację. A to już czysty Orwell. Wszystkie projekty Czarnka idą w tę stronę, a samo lex Czarnek to zbiór narzędzi do ręcznej, centralnej, budzącej strach kontroli.

Lex Czarnek jeszcze nie uchwalono, ale – jak alarmują ci, którzy protestują przeciw nowej ustawie - już działa.

Jeszcze przez moment nie obowiązuje de iure, ale już obowiązuje de facto, bo skutecznie wzbudzono lęk. Ludzie się boją i przestaje im się chcieć, bo mają poczucie, że wykonując to, co dotychczas, wystawiają się teraz na wielkie ryzyko: kontroli, dywaników, utraty pracy etc. Dostaję sygnały od organizacji, które nie mają na sztandarach żadnych kontrowersyjnych z punktu widzenia obecnej władzy tez, i od lat współpracowały ze szkołami, że… szkoły już się wycofują ze współpracy. Na wszelki wypadek.

A czytał pan założenia nowego przedmiotu szkolnego? Historii i Teraźniejszości?

Czytałem. I trudno mi było powstrzymać się przed niecenzuralnymi słowami. Tam, gdzie powinno być uczenie rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, jest prezentacja jednej, konkretnej interpretacji, i to bardzo nierzetelnej. Jednakże mam świadomość, że HiT to po prostu kolejna odsłona wymarzonej przez Kaczyńskiego orwellizacji. Działania tej władzy są obliczone na to, żeby ludzi zamęczyć, zdemotywować, doprowadzić do stanu totalnej bierności. Dlatego obecne protesty są tak ważne, nawet jeżeli władza uchwali lex Czarnek. Bo tak jak pisał Camus: jeśli solidarnie z innymi będę się buntować w imię wartości, przestanę być człowiekiem bezsensownie tkwiącym w niewoli absurdu.

Ale wyobraża Pan sobie w tej chwili lekcję w szkole, na której nauczyciel mówi to uczniom? Odwołując się do absurdu i zniewolenia?

Takie lekcje odbywają się cały czas. Nauczyciele mają autonomię i zasadniczo nikt ich nie rozlicza z tego, co naprawdę na nich mówią, z wyjątkiem sytuacji, gdy ktoś, z powodu słusznego lub nie, donosi do kuratorium, rozkręca aferę etc. Ostatnio jedna z nauczycielek została wezwana na dywanik w kuratorium, bo… czytała na lekcjach fragmenty mojej książki. Tymczasem lex Czarnek osiągnęło już kluczowy cel - efekt mrożący. Wielu nauczycieli na wszelki wypadek zaczyna się bardzo niebezpiecznie kontrolować.

Szkolna autocenzura?

Tak - żeby nie podpaść dyrekcji, nie dać pretekstu jakiemuś rodzicowi, nie wpaść w orbitę zainteresowania kuratoryjnych urzędników. Dlatego część nauczycieli odejdzie ze szkoły. Wielu już to zrobiło. Część zużywa swoją energię na te próby autokontroli, coraz bardziej się wypalając, walcząc z często niezdiagnozowaną depresją. Część poradzi sobie z tym kreatywnie, co będzie coraz bardziej przypominało tajne komplety. Edukacja jest dla uczniów i uczennic, to prawda. I właśnie dlatego opiera się na nauczycielach i nauczycielkach. A ci są od lat poturbowani, dodatkowo upodleni przez rząd w czasie strajku z 2019. Co to oznacza dla edukacji, także w perspektywie kilkunastu lat? Jacy ludzie wyjdą z polskiej szkoły, uczeni przez zgnębionych, upadlanych, przerażonych, wypalonych, bezradnych dorosłych? Ktoś powie: „nie przesadzaj". Serio? Proszę, przykład pierwszy z brzegu. Patrzę na ludzi, którzy się nie szczepią, ich bliscy chorują i umierają, a oni nadal się nie szczepią. To jest pokłosie tego, że od dekad uczniom wtłacza się do głów zestawy gotowych myśli, a nie uczy się ani umiejętności myślenia, ani zaufania nauce. I wielu dorosłych, którzy ten system przeszli, nie widzi najprostszego ciągu przyczynowo-skutkowego między niezaszczepieniem a ciężkim przebiegiem covidu i śmiercią, który widać we wszystkich statystykach.

Parafrazując tytuł najpopularniejszego dzisiaj filmu: nie patrzą w górę, patrzą w dół? A pan rozmawia o tym z młodymi ludźmi? Choćby zbierając materiały do książki? Pierwsza część „Szkoły bohaterek i bohaterów" była „młodsza", druga rośnie z Pana bohaterami i bohaterkami.

Nieustannie. Współpracuję z nimi od początku, gdy tylko powstała koncepcja książki. Pomagają mi w dookreślaniu zagadnień, w doborze tekstów, które warto wykorzystywać. Są moimi pierwszymi odbiorcami, na ich reakcjach, potrzebach i doświadczeniach opieram to, co chcę przekazać w kolejnych rozdziałach. A moje książki są jak moje lekcje etyki. W pierwszych klasach uczyliśmy się fundamentów, czyli rzetelnego dialogu, pełnego szacunku i merytorycznej argumentacji. Z drugimi klasami szliśmy głębiej: w relacje międzyludzkie i ich wypaczenia. Z trzecimi poruszaliśmy sprawy najgłębsze: początek, koniec i sens życia.

Jak „Harry Potter", z którego pan czerpie?

No właśnie! (śmiech) Pierwszy tom „Szkoły bohaterek i bohaterów" to radzenie sobie z podstawowymi wyzwaniami życia. To jakby zajęcia z podstawowych zaklęć. W drugim idziemy na fakultet obrony przed czarną magią. Czyli daję czytelnikom i czytelniczkom narzędzia do obrony przed różnymi formami zła, czyli de facto agresji, wyrażającej się w wykluczaniu, poniżaniu, zawstydzaniu, hejtowaniu, manipulowaniu, obrażaniu, plotkowaniu…

O szkole też pan z nimi rozmawia?

To jeden z nieustannie poruszanych tematów. Bo to ich życie. I większości ludzi - związanych ze szkołą choćby na mocy faktu bycia rodzicami. Teraz bardzo ważnym tematem jest matura w 2023 roku, której projekt jest szczytem absurdu. Ci uczniowie, tzw. pierwszy rocznik po podstawówce, żyją w ciągłym lęku przed nią. Są rzuceni na głęboką wodę i nie mają systemowych narzędzi, które im pomogą. Do tego mają do czynienia z naturalną obawą towarzyszącą wchodzeniu w dorosłość, zwiększoną o lęk związany z czasami, w których żyjemy – pandemią, niepewną przyszłością, stanem ekonomicznym rodzin, także tym, co się zbliża na poziomie klimatycznym. Młodzi przyjmują różne strategie radzenia sobie z takim nagromadzeniem bodźców, głównie negatywnych. Ucieczka od rzeczywistości, rezygnacja z decydowania o sobie, takie życie „za szybą" - a dorosłym wtedy się wydaje, że młodego człowieka nic nie obchodzi. Są i tacy, którzy dostosowują się do rzeczywistości, bez podejmowania prób zmiany. Przechodzą w tryb przetrwania - lekcje do odrobienia i egzamin do zdania osadzają w codzienności, dają poczucie bezpieczeństwa, względnej kontroli nad rzeczywistością. Ale to jest przecież sprowadzenie życia do poziomu wegetacji. Są w końcu tacy, którzy starają się aktywnie wychodzić naprzeciw rzeczywistości, szukają rozwiązań. I to jest sedno mojej działalności. Nie usuniemy bólu ze świata, ale możemy minimalizować cierpienie. To, że ta władza tego nie robi, a wręcz intensyfikuje to cierpienie, jest szczytem jej okrucieństwa.

Więc wyobraźmy sobie: nie ma lex Czarnek, nie ma zmian z ostatnich lat. Co w szkole trzeba mimo wszystko zrobić?

Nie mam wątpliwości, że polska szkoła może być fantastyczną szkołą. Sam z wieloma osobami na różne sposoby próbuję pokazywać, że to się da zrobić. Ale to nie tak, że jak się usunie Czarnka, to następnego dnia wszystko będzie dobrze. Miałoby to oczywiście wiele plusów, ale w dalszej perspektywie niewiele by się zmieniło, bo Czarnek jest tylko jednym z klocków tej układanki. Mogę sobie wyobrazić sytuację, że jego następczynią zostaje Barbara Nowak [małopolska kurator oświaty – red.]. Polskiej szkole potrzebna jest fundamentalna zmiana, bo stan naszego społeczeństwa nie wziął się z kosmosu. To pokłosie dotychczasowego systemu edukacji. Dlatego trzeba go naprawić. Ale nie poprzez fundowanie edukacji kolejnych wstrząsów. Nie bez przyczyny nazwa akcji sprzeciwiającej się Czarnkowi nazywa się „Wolna Szkoła". Edukacji trzeba zwrócić wolność „od" i wolność „do".

Od tego zacząłby Pan zmiany? Od obietnicy, że nie będzie rewolucji?

Od dania pewności, że nikt nie będzie już straszył, oraz wielowymiarowego, minimalizującego nierówności wsparcia. I tak, również od obietnicy, zawartej w postaci paktu pond podziałami, w postaci „edukacyjnej umowy społecznej", że szkoła nie będzie przedmiotem walki politycznej i nie będzie żadnych rewolucji strukturalnych. Zwłaszcza że one są zbędne. Potrzebna jest raczej zmiana „oprzyrządowania". Na przykład likwidacja kuratoriów oświaty, które zostały powołane do kontroli, a nie wspierania. Wraz z Polską 2050 postulujemy zastąpienie ich Komisją Edukacji Narodowej, wspierającą, monitorującą, pomagającą, inspirującą. Edukację w tym kraju trzeba uspokoić i wesprzeć, emocjonalnie i finansowo. Jeśli człowiek jest w permanentnym stresie, chwieje się i drży, nie jest w stanie realnie mierzyć się z wyzwaniami życia. Najpierw trzeba go uspokoić. Tak samo jest z organizacją, szczególnie tak teraz rozedrganą jak szkoła. Obecna władza chce jej patrzeć na ręce. A szkole potrzeba rękę podać.

PRZEMYSŁAW STAROŃ

PSYCHOLOG, WYKŁADOWCA, TRENER I EDUKATOR, AUTOR BESTSELLEROWEJ "SZKOŁY BOHATEREK I BOHATERÓW", WYRÓŻNIONY W KONKURSIE IM. I. SENDLEROWEJ „ZA NAPRAWIANIE ŚWIATA", NAGRODZONY LGBT+ DIAMOND 2019 POLISH BUSINESS AWARD, NAUCZYCIEL ROKU 2018, FINALISTA GLOBAL TEACHER PRIZE 2020, DIGITAL SHAPER 2020, LIDER DS. EDUKACJI W POLSCE 2050.

Cieszyć się czy nie cieszyć? Ta podwyżka postawiła samorządowców w dość kłopotliwej sytuacji

POMORZE // Od wielu miesięcy budziła kontrowersje, ale ostatecznie weszła w życie 1 listopada ub.r. Chodzi o uchwaloną przez parlament i podpisaną przez prezydenta RP ustawę regulującą wynagrodzenia samorządowców, parlamentarzystów oraz władz RP. Faktycznie oznacza ona znaczny wzrost pensji nawet tym, którzy go nie chcą

Bogdana Wachowska
b.wachowska@zawszepomorze.pl

Sejm ustawą z 17.09.2021 r. narzucił podwyżki dla samorządowców w całej Polsce. Na ostatnich sesjach zapadały więc decyzje o podniesieniu wynagrodzeń wójtom, burmistrzom, prezydentom, marszałkom województw. Radni właściwie nie mieli wyjścia. Musieli także – czasami z dużym oporem - głosować nad podwyżkami dla siebie. Wielu samorządowców zyskało znacznie wyższe pensje, których nie mogli nie przyjąć.

Oczywiście, trudno znaleźć człowieka, którego nie ucieszyłaby większa gotówka w portfelu. Jednak ta finansowo „dobra zmiana" postawiła samorządowców w dość kłopotliwej sytuacji. Trwa pandemia, galopuje inflacja, a od stycznia weszły w życie rozwiązania podatkowe z Polskiego Ładu. Szokują też podwyżki cen prądu i gazu. Gminom niełatwo było spiąć budżety na 2022 r., a ich mieszkańcom coraz trudniej opanować domowe wydatki.

- Uważam, że wszyscy będziemy jak „Gowiny", będziemy musieli powiedzieć, że „dostajemy więcej, ale się z tego nie cieszymy". Tylko kto nam w to uwierzy!? – napisał w listopadzie na facebooku prezydent Szczecina Piotr Krzystek, kiedy rozpoczęła się dyskusja na temat jego wynagrodzenia. - W mojej opinii podwyżki dla radnych, prezydentów, burmistrzów, to przebiegła pułapka polityczna na samorządowców, którą wymyślił rząd. Perfidia polega na tym, że tę podwyżkę trzeba zrobić, bo nakazuje to prawo […]. Samorządowcy powinni zarabiać więcej. Zawsze to mówiłem. Bo zgodzicie się chyba, że pensja prezydenta Szczecina (osoby która zarządza sprawami blisko 400-tysięcznego miasta, zatrudnia 13 tysięcy osób, nadzoruje pracę ponad 20 spółek, odpowiada za edukację, komunikację i miliardowy budżet inwestycyjny) nie powinna wynosić 8 tys. zł na rękę […] Dziś daje się nam podwyżkę po to, aby skłócić nas z mieszkańcami i współpracownikami – podsumował.

Fot. Materiały UM w Malborku

Marek Charzewski, burmistrz Malborka postanowił przekazywać swoją podwyżkę m.in. na cele charytatywne

Najpierw zabrali, teraz rozdają

Wcześniej rząd nie był taki hojny. W 2018 r. obniżył wynagrodzenia samorządowcom o 20 procent. Była to odpowiedź na aferę z nagrodami dla ministrów. Opinii publicznej nie spodobało się, że w 2017 roku rząd przyznał wszystkim członkom gabinetu po kilkadziesiąt tysięcy złotych nagród. To wtedy padły słynne słowa premier Beaty Szydło, że „te pieniądze im się po prostu należały". Dwa lata później - w sierpniu 2020 roku zdecydowana większość parlamentarna przegłosowała podwyżki sobie, ministrom i samorządowcom. Jednak po oburzeniu opinii publicznej wycofała się z tego pomysłu. Nie na długo. Po podpisaniu przez Andrzeja Dudę w październiku 2021 r. ustawy z 17.09.2021 r. po kilka tysięcy złotych miesięcznie zyskali m.in. ministrowie, marszałkowie Sejmu i Senatu i posłowie, również prezydent RP (i jego poprzednicy) oraz premier. No i samorządowcy. Posłowie PiS, autorzy nowelizacji, uzasadniali, że wynagrodzenia nie ulegały zmianie od lat, za to płace na rynku znacząco wzrosły.

- Bardzo pilnych i radykalnych regulacji wymagają pensje w bardzo wielu zawodach, ale w moim przekonaniu rozpoczynanie akurat tego procesu od siebie, nie jest dobrym rozwiązaniem - uważa prezydent Gdyni, Wojciech Szczurek, który teraz będzie zarabiał 19 602,50 zł brutto (wcześniej ok. 11 200 zł). - W sytuacji, w której samorządy zmuszone zostały do przygotowania bardzo oszczędnych budżetów, gdzie w każdym z rozdziałów musieliśmy zaplanować wydatki na poziomie niższym niż w ubiegłym roku, zobligowanie nas do podniesienia właśnie teraz i właśnie sobie pensji, zakrawa trochę na absurd.

Skąd więc ta szczodrość rządu, skoro wcześniej kazał zaciskać pasa i mroził pensje budżetówce?

- Podwyżki wynagrodzenia dla „władzy" nigdy nie wywołują społecznego entuzjazmu - przyznaje Mirosław Pobłocki, prezydent Tczewa. - Mogło więc chodzić o to, aby „podzielić się odpowiedzialnością" za niepopularne decyzje.

Prezydent Pobłocki przy niemal jednomyślności radnych otrzymał 100 procent maksymalnej pensji. Teraz będzie zarabiał 20 640 zł brutto (wcześniej 11 tys. zł). Po głosowaniu zapowiedział podwyżki dla urzędników - od tego miesiąca - średnio o 300 zł. - Naturalne jest, że w ślad za podwyżkami dla włodarzy gmin i radnych, wzrostu wynagrodzenia oczekują także urzędnicy. Aby miasto dobrze funkcjonowało, potrzebni są fachowcy, a nie chciałbym, aby sprawdzeni pracownicy szukali innej pracy, bo w urzędzie zarabiają zbyt mało – uznał Mirosław Pobłocki.

Post do mieszkańców

Sporo dylematów przy zmianie wynagrodzenia dla burmistrz Jolanty Szewczun mieli za to radni Dzierzgonia. Jeden z nich przed głosowaniem postanowił zrobić sondaż wśród mieszkańców.

- Wynagrodzenie dla burmistrz Dzierzgonia oraz radnych Rady Miejskiej finansowane jest z Państwa podatków, dlatego też uważam że w pierwszej kolejności to Państwo powinni wyrazić swoją opinię na temat planowanej podwyżki […] – napisał na facebooku radny Grzegorz Murawski. - Proszę o odpowiedź na pytanie: Czy chcesz sfinansować podwyżkę dla burmistrz Dzierzgonia i radnych Rady Miejskiej?

Większość odpowiedzi (w komentarzach do posta) była oczywiście na „nie". Choć pojawiały się także opinie, że Jolanta Szewczun zarabia zbyt mało. Ostatecznie rada zmieniła uposażenie pani burmistrz z 10 180 do 19 470 zł brutto.

- Może pytanie zostało sformułowanie nie do końca trafnie, ale musimy wyrazić swoje zdanie w sprawie, która dotyczy każdego samorządu, a została arbitralnie rozstrzygnięta przez ustawodawcę - wyjaśnia intencje swojego działania radny Murawski. - Najpierw parlamentarna większość obniżyła wynagrodzenia samorządowców, teraz zafundowała im spore podwyżki. Tak nie można działać! Nikt nie zaprzeczy, że pracownicy samorządowi powinni godziwie zarabiać, jednak należy dać nam - radzie - więcej możliwości wyboru. No i dostosować to do możliwości danego samorządu.

Możliwość wyboru postanowił mieć burmistrz Malborka Marek Charzewski. Nie zabiegał o podwyżkę, ale ją dostał. Radni również takiej propozycji nie wysuwali, jednak stosowną uchwałę zgodnie z prawem przyjęli. Burmistrz będzie teraz zarabiał 16 tys. zł brutto. To najniższy poziom wynagrodzenia przewidzianego przez ustawę, ale Marek Charzewski i tak uznał, że się nim… podzieli. - Rada Miasta musiała podjąć taką decyzję i to rozumiem. Dotychczas otrzymywałem co miesiąc kwotę 6257 złotych netto i pozostanę przy takiej sumie na moje potrzeby życiowe. Wszystkie środki ponad tę kwotę będę przekazywać na działania społeczne, promocję miasta, na cele charytatywne. Na kolejnych sesjach rady miasta będę informował radnych, na co te pieniądze zostały wydane – zadeklarował.

Fot. Materiały UM w Tczewie

Mirosław Pobłocki, prezydent Tczewa po zmianie swojego uposażenia obiecał podwyżki urzędnikom

Lepiej być prezesem...

Pieniądze zawsze wzbudzają emocje, a każda podwyżka władzy - kontrowersje. Faktem jednak jest, że pensje samorządowców nie zmieniały się od lat. Więcej zarabiali lub zarabiają prezesi podległych im spółek komunalnych. Zdarzało się też, że prezydent dużego miasta zarabiał mniej niż burmistrz miasteczka, nieadekwatnie do zadań i odpowiedzialności.

Temat wybrzmiał nawet podczas dość burzliwej dyskusji radnych nad ustaleniem pensji dla prezydent Słupska Krystyny Danileckiej-Wojewódzkiej, gdy zaproponowano dla niej wyższe uposażenie niż wcześniej proponowano w projekcie uchwały. - Często jestem krytykiem sposobu zarządzania miastem przez panią prezydent – przyznała podczas sesji Anna Mrowińska z klubu PiS. - Gdyby jednak jej pensja zależała od mojej oceny, podniosłabym ją, jako pensję prezydenta Słupska. Nawet do 30 tys. zł. Jak to wyglądało, gdy prezydent Słupska zarabiał mniej od burmistrza Ustki, a tyle co kierownik hipermarketu. Z całym szacunkiem odpowiedzialność jest dużo większa. I tak po podwyżce dla prezydenta, to podlegli mu szefowie miejskich spółek będą zarabiać więcej od niego.

Ostatecznie wynagrodzenie prezydent Słupska Krystyny Danileckiej-Wojewódzkiej radni podnieśli do maksymalnego poziomu, czyli 20 040,70 zł brutto (z 10 600 zł).

- Trudno dyskutować na temat, czy to jest dobry czy zły moment na podwyżki. Patrząc na budżety miasta i to, jaki wpływ na nie ma obecna sytuacja w Polsce związana z pandemią, decyzjami rządu, wzrostem inflacji itd., śmiało można powiedzieć, że nie ma dobrego momentu na wzrost wynagrodzeń – uważa prezydent Starogardu Gdańskiego Janusz Stankowiak, którego uposażenie wzrosło z 10 940 do 20 496 zł brutto. - Prawdą jest jednak to, że dotychczasowe wynagrodzenie prezydentów, wójtów czy burmistrzów nie było adekwatne do ponoszonej odpowiedzialności z tytułu zarządzania miastem czy gminą i wiążących się z tym obowiązków - w przypadku Starogardu odpowiedzialności za realizację ponad 200-milionowego budżetu miasta. Istotne jest to, że taką decyzję podjął rząd, a prezydent RP podpisał nowelizację tych przepisów. Kwotę podwyżki ustalili radni.

Trochę samorządowej matematyki

Nowelizacją z 17 września 2021 r., która weszła w życie 1 listopada, dokonano istotnych zmian w ustawie z 21 listopada 2008 r. o pracownikach samorządowych. Przede wszystkim wprowadzono zasady minimalnego wynagrodzenia dla pracowników samorządowych zatrudnionych na podstawie wyboru. Nie może być ono niższe niż 80% (16 033,2 zł brutto) maksymalnego wynagrodzenia określonego dla poszczególnych stanowisk w przepisach wydanych we wspomnianej ustawie. Maksymalne wynagrodzenie na danym stanowisku stanowi suma maksymalnego wynagrodzenia zasadniczego oraz maksymalnego poziomu dodatku funkcyjnego. W przypadku marszałków województwa, starostów, prezydentów miast, burmistrzów i wójtów również kwoty dodatku specjalnego.

Ustawa podniosła także poziom maksymalnego wynagrodzenia samorządowców. Nie może ono przekroczyć w miesiącu 11,2-krotności kwoty bazowej określonej w ustawie budżetowej dla osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe. Przed nowelizacją maksymalny poziom wynagrodzenia nie mógł przekroczyć 7-krotności kwoty bazowej. W ustawie budżetowej na 2021 rok kwota ta została określona na poziomie 1789,42 zł. To daje wzrost maksymalnego wynagrodzenia o 60% - z 12 525,94 zł do 20 041,50 zł.

Weźmy przykład marszałka województwa pomorskiego Mieczysława Struka. Przed zmianami jego uposażenie wynosiło 11 820 zł brutto. Po znowelizowanej na listopadowej sesji uchwale wzrosło do 20 039 zł brutto, na co składa się wynagrodzenie zasadnicze (10 430 zł), dodatek funkcyjny (3380 zł), dodatek specjalny (przyznany w wysokości 30% sumy wynagrodzenia zasadniczego i dodatku funkcyjnego, czyli 4143 zł) oraz dodatek za wieloletnią pracę (20% wynagrodzenia zasadniczego – 2086 zł).

Dlaczego jednak uposażenie niektórych samorządowców, np. prezydentów Tczewa i Starogardu Gdańskiego przekracza kwotę 20 041,50 zł? Okazuje się, że maksymalne wynagrodzenie włodarzy nie obejmuje dodatku za wieloletnią pracę. - Zgodnie z opinią departamentu prawa pracy Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej suma maksymalnego poziomu zarobków stanowi wynagrodzenia zasadnicze, dodatek funkcyjny i dodatek specjalny, ale już nie dodatek za wysługę lat. Stanowisko to zostało uzgodnione z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji – wyjaśnia Małgorzata Mykowska, rzecznik prasowy Urzędu Miejskiego w Tczewie.

Zgodnie ze znowelizowaną ustawą wzrosły także uposażenia radnych. Maksymalna dieta może teraz wynieść 4294,61 zł (wcześniej 2684,13 zł) – w przypadku największych gmin - powyżej 100 tys. mieszkańców oraz sejmików województw. W przypadku gmin o liczbie mieszkańców między 15 i 100 tys., gdzie dieta nie może być wyższa niż 75 proc. maksymalnej kwoty, mowa o 3220,96 zł (wcześniej 2013,10 zł); natomiast w najmniejszych gminach wskaźnik ten wynosi 50 proc., co daje 2147,30 zł (wcześniej 1342,07 zł.)

Inaczej wygląda to w powiatach. W tych powyżej 120 tys. mieszkańców dieta może wynieść 100% maksymalnej stawki, czyli 4294,61. W powiatach między 60 a 120 tys. mieszkańców – 85%, czyli 3650,41 zł, a poniżej 60 tys. mieszkańców – 75%, co daje 3220,95 zł.

O konkretnej wysokości miesięcznego uposażenia decydują sami radni.

Znowelizowane przepisy mają zastosowanie od 1 sierpnia 2021, zatem wszyscy samorządowcy otrzymają wyrównania.

Przypomnijmy, że w województwie pomorskim poza sejmikiem mamy 16 powiatów ziemskich, 4 powiaty grodzkie i 123 gminy (w tym 42 miasta).

Współpraca Piotr Piesik, (OK)

Przed i po zmianach (kwoty brutto, z dodatkami)

Aleksandra Dulkiewicz, prezydent Gdańska:
z 12 525,94 do 20 041,50 zł
Jacek Karnowski, prezydent Sopotu:
z 10 940 do 19 602 zł
Mirosław Augustyn, starosta tczewski:
z 10 620 do 16 104,00 zł
Hanna Pruchniewska, burmistrz Pucka:
z 10 180 do 19 470 zł
Arseniusz Finster, burmistrz Chojnic:
z 10 620 na 19 995 zł
Ryszard Szybajło, burmistrz Człuchowa:
z 10 180 na 19 470 zł
Ryszard Sylka, burmistrz Bytowa:
z 10 600 na 19 250 zł
Mieczysław Gołuński, burmistrz Kartuz:
z 10 620 zł na 19 900 zł
Witold Namyślak, burmistrz Lęborka:
z 10 620 do 17 980 zł
Krzysztof Augustyniak, wójt gminy Tczew:
z 10 620 do 18 117 zł

W pomorskich strukturach PiS wrze, czyli walka politycznych buldogów pod dywanem. O co tak naprawdę chodzi?

Ryszarda Wojciechowska
Karol Uliczny
r.wojciechowska@zawszepomorze.pl
k.uliczny@zawszepomorze.pl

Fot. Karol Makurat

Od osób z otoczenia pełnomocnika rządu do spraw CPK słyszymy, że starcie Płażyńskiego z Horałą ma podłoże ambicjonalne. Że jak nie wiadomo o co chodzi, to pewnie chodzi o stołki

Marcin Horała

- NIE WIEM, PO CO TE PYTANIA POSŁA DO MINISTRA

POLITYKA // Poseł Kacper Płażyński wystąpił po raz kolejny w niet ypowej roli - sygnalisty w swojej partii. Ostatnio złożył interpelację z pytaniem o transparentność umów zawartych przez Central- ny Port Komunikacyjny, którego rządowym pełnomocnikiem jest Marcin Horała. Nic dziwnego, że w pomorskich strukturach PiS wrze i mówi się o walce politycznych buldogów pod dywanem.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia poseł Płażyński złożył do ministra infrastruktury interpelację w sprawie transparentności umów, zawieranych przez Centralny Port Komunikacyjny.

Domaga się w niej od rządu informacji na temat umów, zawartych przez CPK ze spółką High5 Studio z Gdańska, w której wcześniej pracował obecny wiceprezes CPK - Patryk Felmet.

Płażyński pisze m.in., że CPK to inwestycja absolutnie kluczowa dla dalszego rozwoju Polski. I uzasadnia, że: „jej strategiczny, przełomowy charakter budowy sprawia, że przedsięwzięcie to jest celem licznych ataków i przedmiotem nieuzasadnionej krytyki. Dlatego ważna jest rzetelność działań i transparentność podmiotu realizującego inwestycję".

„Tym bardziej musi więc dziwić postawa przedstawicieli CPK, którzy odmówili mi odpowiedzi na pytania dotyczące możliwej współpracy spółki z jedną z firm marketingowych. Firma ta świadczyła lub świadczy usługi dla podmiotów publicznych. W przeszłości związany zaś był z nią jeden z wiceprezesów CPK, co – w przypadku jeśli firma ta świadczy usługi na rzecz CPK - może rodzić pytania o ewentualny konflikt interesów" – pisze dalej.

Pyta więc ministra infrastruktury m.in. o to, dlaczego Centralny Port Komunikacyjny, będący wyłączną własnością Skarbu Państwa, powołując się na wewnętrzne przepisy, odmawia ujawnienia informacji, dotyczących jej bieżącej działalności, a także o to, czy CPK korzystał lub nadal korzysta z usług gdańskiej firmy High5 Studio.

Wielu pomorskich działaczy PiS uważa, że w tej sprawie Patryk Felmet jest tylko „wabikiem". I że ona ma dotknąć przede wszystkim ministra Marcina Horałę.

Sam Horała, pytany o komentarz do tej interpelacji, odpowiada krótko: - Nie wiem, po co te pytania posła do ministra, ani czemu poseł Płażyński zajmuje się jakąś konkretną spółką. I co to ma wspólnego z pełnieniem przez niego mandatu. Przy czym okazuje się, że nie było żadnych umów, o które poseł dopytuje. Pozostaje więc tylko wzruszyć nad tym ramionami.

Patryk Felmet nie chce sprawy komentować, tłumacząc, że nie ma nic do powiedzenia. - Pan poseł zawarł w interpelacji pytania o współpracę spółki High5 Studio z CPK. A przedstawiciele spółki – jak czytałem w „Wyborczej" – stwierdzili, że takiej współpracy nie było. Co więc mam komentować? - kończy rozmowę pytaniem.

O co więc chodzi?

Politycy PiS pytani oficjalnie, nabierają – jak zawsze - wody w usta. Ale kiedy mogą mówić nieoficjalnie, rozwiązują im się języki.

Od osób z otoczenia pełnomocnika rządu do spraw Centralnego Portu Komunikacyjnego słyszymy, że to starcie Płażyńskiego z Horałą ma podłoże ambicjonalne. Że jak nie wiadomo o co chodzi, to pewnie chodzi o stołki.

- Płażyński w swojej głowie jest już prezydentem Polski. Ale na razie czuje się ciężko pokrzywdzony przez wszystkich, którzy nie traktują go w sposób adekwatny do jego pozycji, czyli jako absolutnie czołowego polityka w Polsce. A do tego jeszcze ma żonę z ogromnym apetytem na sukces – mówi jeden z pomorskich działaczy, trzymający stronę ministra Horały.

Inny polityk Prawa i Sprawiedliwości z Pomorza, na pytanie - o co chodzi, odpowiada, że jego zdaniem w grę mogą wchodzić dwa warianty. Po pierwsze walka o przywództwo PiS na Pomorzu.

- Teraz szefem regionalnych struktur jest Marcin Horała. Ale zbliżają się wybory regionalne. I wielu naszych uważa, że w ostatnim czasie partia w regionie zaliczała głównie niepowodzenia. Być może Płażyński widziałby siebie na miejscu szefa pomorskich struktur? - stawia pytanie nasz rozmówca.

Drugim wariantem, jego zdaniem, może być chęć otwierania sobie furtki do tworzenia własnego ruchu politycznego albo startu z list innej partii. Stąd to uwiarygodnianie się na ostatniego prawego i sprawiedliwego. Ale to raczej pomysł mniej prawdopodobny – przyznaje.

Zdaniem kilku działaczy Horała stał się teraz łatwym celem, bo nie tylko w regionie czuje się partyjne rozprężenie, ale też lotnisko nie bardzo mu wychodzi. Urzędnicy państwowi, którzy przyjechali rozmawiać w sprawie CPK, zostali obrzuceni przez miejscowych jajkami. To nie najlepszy prognostyk dla tej inwestycji. Więc to taki moment, kiedy Płażyński poczuł zew i postanowił zaatakować – spekulują.

- Takie zachowania nie są czymś pospolitym, szczególnie w tej ekipie. Nie spotkałem się z podobną sytuacją w Prawie i Sprawiedliwości – mówi Piotr Zwara, radny pomorskiego Sejmiku, który kilka tygodni temu zrezygnował z reprezentowania klubu PiS w samorządzie wojewódzkim. I dodaje: - Niezależnie od merytorycznych kwestii tej sprawy, nie świadczy to zbyt dobrze o klimacie panującym w pomorskim PiS. Przypomina to walkę buldogów pod dywanem. A o co tak naprawdę chodzi, dowiadujemy się dopiero wtedy, kiedy ktoś przypadkowo podnosi ten dywan do góry.

Nieoficjalnie od polityków PiS słyszymy też, że formalne wystąpienie z interpelacją może wcale nie świadczyć o silnej pozycji posła Płażyńskiego w strukturach partii, a wręcz przeciwnie. O tym, że jego pukania do drzwi prominentnych polityków Prawa i Sprawiedliwości pozostają bez odzewu. Według naszego informatora, to dlatego poseł zdecydował się na tak stanowczy krok.

- Kacper Płażyński ma ambicje odgrywania ważnej roli w partii i trudno się temu dziwić – mówi dalej nasz rozmówca. - Osiągnął najlepszy wynik w ostatnich wyborach na całym Pomorzu, na który złożyło się wiele czynników. Przede wszystkim ma nazwisko i jest młody, a w związku z tym nie jest zamieszany w historie, które mogłyby go obciążać. Jego problem polega jednak na czymś innym. Że za tym wyborczym poparciem nie idzie zaufanie ze strony struktur partii. Pamiętam jak jeszcze w 2015, 2016 roku szukał swojego miejsca w polityce. Wtedy pojawiał się np. przy Jarosławie Gowinie, ale ostatecznie wybrał Prawo i Sprawiedliwość. Do dziś jego marka wśród członków partii na pewno nie wzrosła na tyle, na ile sobie to wyobraża. Myślę, że to dlatego próbuje zaznaczyć swoją pozycję, być może nawet zdyskredytować Horałę i przejąć wpływy nad tym, co będzie się dziać w najbliższych dwóch latach. Przed nami wybory samorządowe oraz parlamentarne, a co za tym idzie, do obsadzenia jest wiele miejsc na listach. Osoby, które postawiły na Płażyńskiego mogą powoli tracić cierpliwość. Myślę, że stąd taka ostra zagrywka.

Ale osoby z kręgu Płażyńskiego, to także w pewnym sensie jego obciążenie. W PiS pamięta mu się to, że otacza się takimi ludźmi, jak radny Andrzej Skiba, który przed laty należał do Młodych Socjalistów i wówczas parodiował księży oraz domagał się usunięcia krzyży ze szkół.

Andrzej Skiba, gdański radny Prawa i Sprawiedliwości broni posła Płażyńskiego i jego interpelacji tak: - Dbałość o standardy, skrupulatność w kwestiach związanych z dobrem publicznym to wyróżnik PiS. Wyróżnik, który pomaga nam utrzymywać wysokie poparcie społeczne mimo pandemii i światowego kryzysu. Nie można popełniać błędu Platformy Obywatelskiej, której politycy stosują zasadę chronienia swoich za wszelką cenę, w ogóle nie kontrolując, na przykład, rządzonych przez swoją partię samorządów. Czy któryś polityk PO pytał np. o niejasności wokół marszałka Struka czy wydatki Urzędu Marszałkowskiego? Nie. To prowadzi do patologii i hodowania postaci w typie Sławomira Nowaka.

Bogdan Oleszek, radny z klubu Wszystko dla Gdańska przypomina, że poseł Płażyński sygnalistą w swojej partii był już nie raz.

- To może jest znak czasów, że ci, którzy głośno krzyczą, zwracają na siebie uwagę. Zwłaszcza młodym politykom może się wydawać, że to ścieżka do kariery. I mają na to przykłady, przede wszystkim w Prawie i Sprawiedliwości - mówi.

Rzeczywiście media informowały m.in. o tym, że Płażyński skrytykował swojego partyjnego kolegę, radnego Piotra Gierszewskiego, zarzucając mu reprezentowanie niejasnych interesów (w tle była sprawa spółdzielni Morena) oraz cenzurowanie materiału w publicznym Radiu Gdańsk.

Podszczypywał radnego Kazimierza Koralewskiego, kiedy promował swojego kandydata na stanowisko szefa gdańskiego klubu radnych PiS.

W prawicowym portalu mówił o innym polityku PiS – Grzegorzu Strzelczyku, że „będący prezesem jednej ze spółek grupy Lotos, może nie mieć czasu i sił, by zająć się firmą przygotowującą się do połączenia z Orlenem i jednocześnie prowadzić struktury partii w mieście".

Sam poseł Kacper Płażyński tak na swój ruch patrzy:

- Złożenie interpelacji to nie żaden „stanowczy krok" tylko normalne działania poselskie. PiS to nie PO, my dbamy o przejrzystość instytucji publicznych, także tych podlegających naszemu rządowi. Dziwić może się temu tylko ktoś, kto przyjmuje za normę sposób uprawiania polityki przez Platformę. Dokładne okoliczności wskazujące na konieczność złożenia interpelacji, opisałem w jej treści.

Na prośbę o komentarz do wątku jego ewentualnej walki o władzę z szefem pomorskich struktur PiS, odpowiada: - Z całym szacunkiem dla pana redaktora, ale wątpię, żeby któryś z posłów PiS użył sformułowań, które pan przytacza. Nie ma mowy o żadnym konflikcie. Jestem przekonany, że pan minister Horała, świetnie radzący sobie z projektem CPK, postąpiłby na moim miejscu identycznie. Myślę też, że skłoni on zarząd spółki, aby komunikował się z otoczeniem w sposób bardziej transparentny.

Fot. Karol Makurat

Kacper Płażyński: - Nie ma mowy o żadnym konflikcie

Z Ocean ią jesteśmy państwem bardziej cywilizowanym

Dariusz Szreter
d.szreter@zawszepomorze.pl

TRÓJMIASTO // Zaprojektowany został w stanie wojennym, jego pierwszy rejs zbiegł się z katastrofą czarnobylską. Po 35 latach statek badawczy Instytutu Oceanologii PAN Oceania wciąż jest najlepszym polskim urządzeniem do badań oceanologicznych, tyle, że stał się zdecydowanie... za ciasny.

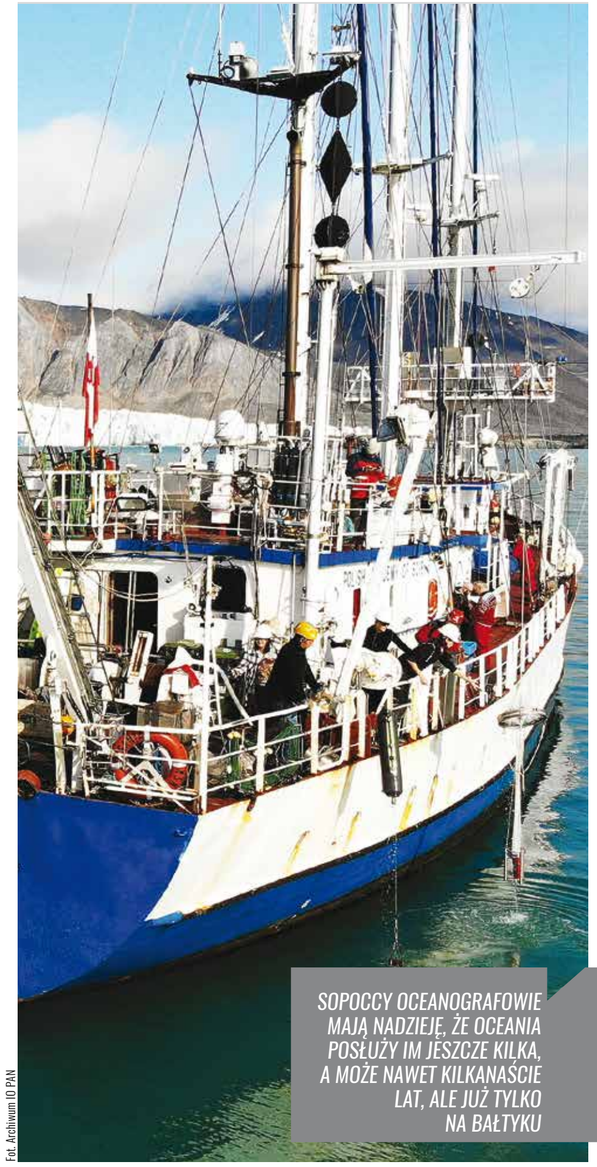

SOPOCCY OCEANOGRAFOWIE MAJĄ NADZIEJĘ, ŻE OCEANIA POSŁUŻY IM JESZCZE KILKA, A MOŻE NAWET KILKANAŚCIE LAT, ALE JUŻ TYLKO NA BAŁTYKU

Fot. Archiwum IO PAN

Dwa miesiące każdego roku Oceania spędza w okolicach Spitzbergenu, tam gdzie ścierają się prądy zimne i ciepłe, i gdzie jest jedno z głównych ognisk tworzenia wiatrów, niżów

Najpierw to miała być Pogoria, żaglowiec zamówiony przez ówczesnego wszechwładnego szefa Radiokomitetu Macieja Szczepańskiego dla Bractwa Żelaznej Szekli. W 1980, po upadku Edwarda Gierka i jego protegowanego – Szczepańskiego, ważyły się dalsze losy jednostki. Jeden z pomysłów zakładał zakupienie jej przez Polską Akademię Nauk na użytek Zakładu Oceanologii (obecnie Instytutu Oceanologii). Ostatecznie żaglowiec przeznaczony został do szkolenia młodzieży, ale jego konstruktor inż. Zygmunt Choreń zaproponował naukowcom, że zaprojektuje specjalnie dla nich coś ekstra.

Przepaści nie było

- To musiał być żaglowiec – tłumaczy dr Jacek Wyrwiński, emerytowany pracownik IO PAN, wówczas odpowiedzialny za pozyskanie jednostki, jako członek Zespołu Armatorskiego. - Nie było dewiz. Zatem by zapewnić możliwość popłynięcia na Spitsbergen i z powrotem, zbiorniki paliwa musiałyby być ogromne. A w związku z tym i sama jednostka musiałaby być odpowiednio duża, na co PAN nie było stać. Zadecydowała więc ekonomia: tania załoga, mało paliwa, a powrót do kraju zawsze mógł być bezdewizowy. Poza tym żaglowiec dawał możliwość prowadzenia badań akustycznych niezagłuszanych pracą silnika.

W 1983, mimo całkowitego zakazu inwestycji budowlanych, Stocznia Gdańska im. Lenina podpisała kontrakt z PAN. W następnym roku ruszyła budowa kadłuba, który został zwodowany w listopadzie. Rok 1985 to doposażanie statku. Uroczyste podniesienie bandery odbyło się 20 grudnia.

W pierwszy rejs naukowy statek wypłynął w kwietniu 1986 roku, na wody między Karlskroną i Gotlandią. To był duży międzynarodowy eksperyment związany z badaniem koncentracji fitoplanktonu na niewielkim akwenie 10x10 mil morskich. Ponad 20 statków: skandynawskich, niemieckich, radzieckich i nasza Oceania, pracowało niemal burta w burtę.

- Porównywaliśmy się z najlepszymi fińskimi i szwedzkimi jednostkami. To było niesłychanie interesujące i jednocześnie promujące dla naszego statku doświadczenie – wspomina prof. Jan Marcin Węsławski, który wówczas brał udział w rejsie, a obecnie kieruje Instytutem Oceanografii.

Jak wypadła Oceania, zbudowana w trudnych dla polskiej gospodarki latach 80., na tle jednostek zagranicznych?

- Przepaści nie było – ocenia dyrektor Węsławski. - To jeszcze były czasy, kiedy w nowoczesnym badaniu morza wszyscy startowali. Byliśmy na podobnym poziomie. Nasz „szczyt techniki pokładowej", czyli komputer Commodore 64, to nie było nic egzotycznego, bo inni mieli niewiele lepsze urządzenia. Statek był nowy, sprawny, a ekipa naukowa nastawiona entuzjastycznie.

Podczas trwania ekspedycji wyleciał w powietrze reaktor atomowy w Czarnobylu. Polska załoga dowiedziała się o tym od Szwedów, nim jeszcze tę informację ujawniono w krajach bloku wschodniego.

Pływający dom

Przez kolejnych 35 lat Oceania była ciasnym, ale własnym pływającym domem dla naukowców. Na podstawie zebranego przez nich materiału powstało kilkaset prac doktorskich, kilkadziesiąt habilitacji i parę profesur. Właściwie cała polska oceanologia opiera się na tym jednym statku.

- Dzięki temu, że statek jest utrzymywany przez jednego armatora, to Instytut decyduje o corocznych badaniach, rejsach, długich rejsach, seriach na Spitzbergenie, badaniach fiordów – wylicza dr Wyrwiński.

I tak dwa miesiące każdego roku Oceania spędza w okolicach Spitzbergenu, tam gdzie ścierają się prądy zimne i ciepłe, i gdzie jest jedno z głównych ognisk tworzenia wiatrów, niżów. Tego wszystkiego, co wpływa na warunki atmosferyczne w naszej części świata.

- Polska zawsze dążyła do bytności w tym rejonie. I jesteśmy tam od 30 lat. Mamy wspaniałe serie, coroczne, w tych samych punktach. Inni nam tego zazdroszczą – przekonuje Jacek Wyrwiński. - Na Oceanii pływały zresztą setki gości zagranicznych.

W 2010 roku Oceania, kosztem kilkunastu milionów złotych przeszła gruntowny lifting. Zamontowano na niej nowy, mocniejszy silnik, trochę inne żagle, wszystkie laboratoria zyskały nowe wyposażenie. Pozwoliło to przedłużyć żywotność jednostki na kolejną dekadę.

- Dzięki międzynarodowym programom, zarówno unijnym, jak i tym, które realizujemy z Amerykanami, Anglikami, a przede wszystkim Norwegami i Niemcami na obszarze północnego Atlantyku i Arktyki, wyposażyliśmy się w sprzęt, który nie odbiega od standardów międzynarodowych – wyjaśnia dyrektor Węsławski. – Niestety, i z tym nie da się nic zrobić, statek jest za mały. Nie może pomieścić wszystkich przyrządów. W związku z tym bywa tak, że w czasie dużego międzynarodowego rejsu na Spitzbergen, musimy cztery czy pięć razy zmieniać ekipę oraz sprzęt. Niemcy pływają wielkim Polarsternem, który bierze na pokład 70 naukowców, my - 12. To są tego typu proporcje. Natomiast kiedy już robimy pomiary, czy to planktonu, czy to z zakresu fizyki morza, to one są jednakowej jakości.

Co po Oceanii?

Sopoccy oceanografowie mają nadzieję, że Oceania posłuży im jeszcze kilka, a może nawet kilkanaście lat, ale już tylko na Bałtyku, bo to - mimo wszystko - jest po prostu statek za wolny, za mały i za ciasny na współczesne wymagania. Kto ją zastąpi, jako ambasador polskiej nauki na oceanach? Plany budowy nowoczesnego 70-metrowego statku badawczego, o odpowiednich parametrach, który będzie mógł zabrać wystarczająco wielu naukowców i cały potrzebny sprzęt naukowy, są mocno zaawansowane. Rzecz w tym, że Instytut sam nie podoła takiej inwestycji.

- Oceanię mieliśmy, jako instytut, wyłącznie do naszej dyspozycji. Mamy świadomość, że to się więcej w historii nie powtórzy, nikt już nie da jednej instytucji tak kosztownej zabawki - mówi dyrektor Węsławski. - W związku z tym dogadaliśmy się z innymi potencjalnymi użytkownikami: Instytutem Geofizyki PAN, który operuje stacją polarną w Horsundzie, Instytutem Biologii i Biofizyki PAN, który operuje stacją w Arktyce oraz Państwowym Instytutem Geologicznym, który działa na środkowym Atlantyku.

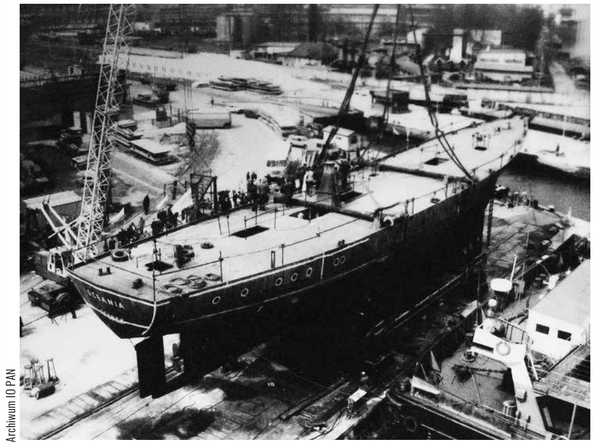

Fot. Archiwum IO PAN

23 sierpnia 1984 roku na wydziale K1 Stoczni Gdańskiej ruszyła budowa, a w listopadzie gotowy kadłub został przetransportowany na nabrzeże stoczniowe

Te cztery naukowe instytucje porozumiały się, w sprawie możliwości wykorzystania jednego statku, tak by każda z nich miała dla siebie te kilka niezbędnych miesięcy w roku na przeprowadzenie własnego programu badań.

- Ten cały przekrój transatlantycki na dużej jednostce, to jest już coś, co może nas wprowadzić do wielkich międzynarodowych programów oceanicznych, w których byliśmy kiedyś, w latach 70., kiedy działał Profesor Siedlecki [oceaniczny statek badawczy Morskiego Instytutu Rybackiego, eksploatowany w latach 1972-91 – red.]. Jest szansa, że z nową jednostką będziemy mogli do tego powrócić – przekonuje dyrektor IO PAN.

Pytany, po co położonej nad „jeziorem bałtyckim" Polsce obecność w programach oceanicznych, profesor Węsławski przyznaje, że nie jest to coś, co przyniesie nam jakiekolwiek bezpośrednie wymierne korzyści. Oceany zostały już bardzo dokładnie podzielone i to nie jest tak, że my poszukujemy tam w tej chwili swojej ekonomicznej szansy. Co prawda Polska ma działki geologiczne na środkowym Atlantyku, pod Wyspami Azorskimi, i teoretycznie jesteśmy w stanie eksploatować złoża występujących tam metali rzadkich, ale to raczej możliwość teoretyczna.

- Możemy wyobrazić sobie, że rezygnujemy np. z wysyłania naszych sportowców na zawody międzynarodowe. Możemy zrezygnować z inwestowania pieniędzy w kulturę czy w sztukę, bo to nie jest coś, co nam przynosi korzyść. Ale nie uważalibyśmy się za państwo rozwinięte i cywilizowane, gdybyśmy takich rzeczy nie prowadzili – obrazowo wyjaśnia Jan Marcin Węsławski. – Badania podstawowe w nauce, to jest ta sama dziedzina, co sztuka, co kultura. Uczestnictwo we wspólnym wysiłku państw rozwiniętych w kierunku rozpoznania zmian klimatu, ustawia nas jako państwo cywilizowane. I to jest wystarczająco mocny powód, żebyśmy na to dawali pieniądze.

My, uprzywilejowani

Skoro o zmianie klimatu mowa… Tę sprawę prof. Węsławski traktuje bardzo serio. Zwraca jednak uwagę, że skutki będą różne w zależności od regionu świata. Są takie miejsca, gdzie nastąpi katastrofa. To regiony, które już w tej chwili są zalewane w związku z podwyższającym się poziomem morza. Gdzie indziej temperatura będzie tak wysoka, że człowiek nie będzie w stanie tracić ciepła przez pocenie się i te rejony po prostu nie będą nadawały się do życia. W innych częściach świata, i do nich zalicza się terytorium Polski, dolegliwości wynikające ze zmiany klimatu będą „do zniesienia". Będzie susza, będą wiatry, będzie gorsza efektywność rolnicza. Będzie kompletna zmiana ekosystemów lądowych. Będą problemy z zalewaniem Żuław Wiślanych i niektórych innych regionów przybrzeżnych. Ale to nie jest ta skala kłopotów, jaka stanie przed Holandią czy północnymi Niemcami.

Co do samego Bałtyku, to zmiana już zachodzi.

- Nie jest to zmiana katastrofalna, nieprawdą jest, że to morze umiera - uspokaja prof. Węsławski. - Ale zmienia się błyskawicznie i na pewno nie będzie w nim np. miejsca dla dorsza, bo to ryba zimnowodna, wymagająca tlenu i pewnego minimalnego zasolenia. Nie znaczy to jednak, że Bałtyk nie będzie się nadawał do rekreacji, czy do połowów. Wchodzą do niego małe ryby, które dobrze radzą sobie w wysokich temperaturach. Poza tym Bałtyk generalnie jest coraz czystszy.

Zdaniem dyrektora Instytutu Oceanologii zmiany klimatu są nieodwracalnie. Jedyne, co możemy zrobić to dostosować się, a jednocześnie starać się spowolnić ich tempo.

- To naprawdę duża różnica, czy do końca stulecia poziom morza podniesie się o metr, czy też jeszcze przyspieszy i zafundujemy sobie półtora czy dwa metry - kończy profesor.

Przygotowując artykuł korzystałem z książki „Oceania1985-2020", wyd. Instytut Oceanologii PAN, Sopot 2021

Codziennie przec ież naciskamy na klamkę, codzie nnie otwieramy okno, stąpamy po posadzce

GDAŃSK // Co ciekawego można znaleźć na starej klatce schodow ej? Skarby! Często ukryte, zamaskowane... O projekcie „Uwaga, detal!" mówi Katarz yna Płażyńska

Gabriela Pewińska-Jaśniewicz
g.pewinska@zawszepomorze.pl

Detal architektoniczny, czyli co?

To bardzo pojemne określenie, spoza dyskursu naukowego. Obejmuje elementy widoczne w elewacji budynku jak i w jego wnętrzu. Nasz projekt uwzględnia również oryginalny, historyczny detal architektoniczny zachowany na oliwskich klatkach schodowych. Badamy pod tym względem budynki z przełomu XIX i XX wieku. Detale tu zachowane są charakterystyczne ze względu na swoją funkcję, tak dekoracyjną jak i konstrukcyjną czy użytkową. Liczy się też kunszt wykonania. To wykonanie, często ręką rzemieślnika, trzeba docenić szczególnie. Ważny był też - gdy mówimy na przykład o stolarce okiennej czy drzwiowej – materiał, z którego zostały zrobione. To często ponad stuletnie drewno, stuletnie drewno, które jednak nadal trwa i jakością przewyższa materiał współczesny.

Ktoś mógłby spytać, co ciekawego można znaleźć na starej klatce schodowej?

Skarby! Często ukryte, zamaskowane, choćby niezwykłe polichromie pod warstwami farby, która była po wojnie sukcesywnie nakładana w związku z kolejnymi remontami przeprowadzonymi bez nadzoru konserwatorów. To też posadzki, które zachowały się dość fragmentarycznie, w tym niedoceniane lastriko, ale i oryginalne balustrady, poręcze, drzwi, również tak drobne elementy jak klamki, skrzynki na listy, czy włączniki do światła, to wszystko ma swą ogromną wartość. I co niezwykłe, to perełki dostępne na wyciągnięcie ręki. Codziennie przecież naciskamy na klamkę, codziennie otwieramy okno, stąpamy po posadzce i zwykle nie zastanawiamy się nad tym, jak wiekowe to są elementy, kto je wykonał, kiedy. A, niestety, przez to, że pokryte patyną czasu, bywa, że są zniszczone i domagają się zabiegów konserwatorskich, zdarza się, że się je wymienia na nowe, bez refleksji nad tym, że może warto byłoby o nie zawalczyć. By towarzyszyły kolejnym pokoleniom...

Pani, zakładając Fundację Polanki, postanowiła podjąć tę walkę.

Sens naszych działań odnajdujemy na wielu płaszczyznach. Po pierwsze, cel edukacyjny związany z kontekstem historycznym. Większość mieszkających w Oliwie gdańszczan to nie są gdańszczanie żyjący tu od pokoleń, to często potomkowie ludności napływowej, przybyłej z różnych rejonów Polski, z Kresów, ludzie, którzy na nowo musieli się w tym mieście odnaleźć. Ja należę do pokolenia, które w Gdańsku czuje się u siebie, ma mniej emocjonalny stosunek do wciąż delikatnego tematu związanego z poniemieckością tych ziem. Chcę znać historię ludzi, którzy mieszkali w tym kamienicach przed wojną, chciałabym wiedzieć, czy są znani z imienia i nazwiska architekci poszczególnych kamienic, willi. Kto mieszkał w tych domach, jak mieszkał, gdzie niegdyś ludzie się bawili, gdzie odpoczywali, dlaczego Oliwa uznawana była za kurort. To pytania, na które wciąż jeszcze nie mamy pełnych odpowiedzi. I to zarówno na poziomie naukowym – bo brakuje naukowych publikacji, które opowiadałyby o historii życia codziennego oliwian czy o dziejach oliwskiej architektury mieszkaniowej, brakuje też solidnej literatury popularnonaukowej na ten temat. Kolejny aspekt wiąże się z wartością zabytkową tych obiektów. Detal architektoniczny znacząco wpływa na spójność stylistyczną budynku, wystarczy przyjrzeć się elewacji kamienicy, która ma zachowane oryginalne okna i takiej, gdzie drewniane okna zostały wymienione na okna pcv, jak to dramatycznie ujmuje urody kamienicy! A przecież, skoro te budynki przetrwały wojnę i te okna już tyle lat te elewacje zdobią to szkoda, że właściciele zastępują je nowymi, choć zdaję sobie sprawę, że zwykle nie wynika to ze złych intencji, a w dużej mierze z braku wiedzy, jak wielka jest historyczna i artystyczna wartość tych elementów. Projekt „Uwaga detal!" zrodził się głównie ze świadomości, jak ważne są nasze działania edukacyjne, jaką mają siłę.

Każdy wielki projekt, wielka idea ma zwykle jakiś swój prozaiczny początek. Jak to było w pani przypadku?

Jestem oliwianką z urodzenia, tu kończyłam liceum. Jestem też historykiem sztuki, tak więc moje zainteresowanie architekturą jest naturalne, zawodowo także zajmuję się dziedzictwem kulturowym. Przyczynkiem do tego, że obudziła się we mnie chęć badania i działań na rzecz ochrony zabytków była, paradoksalnie, moja siedmioletnia obecność w Warszawie, którą zachłannie odkrywałam. Mieszkałam przez jakiś czas na Pradze, gdzie jest całe bogactwo historycznego detalu architektonicznego. A gdy wróciłam do Oliwy uświadomiłam sobie, jak mało o niej wiem. I jak wiele pozostało do odkrycia, do opowiedzenia. Stąd fundacja, którą prowadzę z pomocą przyjaciół. To, co robimy, to nasze zgłębianie piękna architektonicznego Oliwy, to rodzaj treningu uważności. Wiele razy przechodzimy obok jakiegoś wiekowego budynku, ale czy zwracamy uwagę na kunszt wykonania jego drzwi, na okna, czy dostrzegamy takie elementy w elewacji? Przyjrzyjmy się im baczniej, a inaczej zaczniemy patrzeć na miasto. Wiem to z własnego doświadczenia.

Katarzyna Płażyńska

GDAŃSZCZANKA, MIESZKANKA OLIWY, PREZESKA FUNDACJI POLANKI, ABSOLWENTKA PRAWA I HISTORII SZTUKI. OD CZASU STUDIÓW ZWIĄZANA Z TEMATEM OCHRONY ZABYTKÓW. PRACOWAŁA W PAŃSTWOWYCH INSTYTUCJACH KULTURY (NARODOWY INSTYTUT DZIEDZICTWA, CENTRUM ARCHIWISTYKI SPOŁECZNEJ) ORAZ ORGANIZACJACH POZARZĄDOWYCH ZAJMUJĄCYCH SIĘ DZIEDZICTWEM KULTUROWYM (FUNDACJA ARCHEOLOGIA FOTOGRAFII, FUNDACJA OŚRODKA KARTA), UCZESTNICZKA I KOORDYNATORKA RÓŻNYCH PROJEKTÓW DOTYCZĄCYCH SZEROKO POJĘTEJ KULTURY.

Oliwa jest wyjątkowa, wszyscy to wiedzą.

Tak, wynika to w dużej mierze z wyjątkowego położenia Oliwy między wzgórzami morenowymi a morzem. Dzięki temu usytuowaniu panowały tu szczególne warunki klimatyczne za sprawą których Oliwa niegdyś była uznawana za tzw. kurort powietrzny (Luftkurort). Architektura tylko dopełniała bajkowości. My o tym genius loci chcemy opowiadać, a detal architektoniczny jest do tego świetnym pretekstem.

Ktoś napisał na FB fundacji: Jak wynajdujecie takie cuda? Albo: Droga Oliwo, nie przestajesz zaskakiwać!

Detal wciąga. Kiedy raz, drugi, trzeci dokona się jakiegoś odkrycia, to ma się apetyt na więcej. W poszukiwaniu informacji na temat oliwskiego detalu wykonaliśmy kwerendę archiwalną, która udowodniła potrzebę stworzenia aktualnej dokumentacji w tym zakresie. W zasobach służb konserwatorskich znajdują się co prawda tzw. białe karty, czyli karty ewidencyjne dużej części oliwskich zabytków, ale ich zawartość merytoryczna jest dość zdawkowa i często mocno zdezaktualizowana. To owoc pracy konserwatorów w latach 80. i wcześniej, dokumentacja ta zawiera czarno-białe zdjęcia, lakoniczne opisy. Od początku założeniem naszego projektu było wykonanie dokumentacji fotograficznej, między innymi po to, aby w przypadku utraty detalu, można było go odtworzyć w przyszłości. Stworzenie dokumentacji konserwatorskiej jest jednym z filarów ochrony zabytków. I tak, w ramach projektu powstała internetowa baza detalu obejmująca już ponad 700 zdjęć, ta ilość będzie rosła. Mamy nadzieję, że będzie to również źródło inspiracji – dla rzemieślników, projektantów, artystów.

Spacerując po Oliwie trzeba być czujnym, bo wszędzie możemy napotkać piękno, ktoś powiedział.

Wielkim zaskoczeniem była dla mnie polichromia z barwnym malowidłem – secesyjną ogrodniczką, zachowana w niezmienionym kształcie w niszy na elewacji willi Tannenheim, czyli Domu Pod Jodłami.

Ponoć kiedyś cel rzucania piłką?

Zgadza się, o tym, że dzieci mierzyły w ogrodniczkę piłką, opowiedział mi pan, który mieszka w tym miejscu od lat 40. Willa powstała w 1898 r. z inicjatywy gdańskiego rzeźnika Heinricha Fromma i jest przykładem eklektycznej architektury, typowej dla przełomu XIX i XX wieku. To konglomerat różnych form stylowych, mamy tu nawiązania do renesansu, rokoko i w końcu secesji. Przez swoją niejednoznaczność stylową budynek bardzo działa na wyobraźnię, wpływa na to również jego lokalizacja, tuż nad dawnym stawem młyńskim i otaczający go park, niegdyś skrywający wyjątkowe gatunki drzew i krzewów.

Inne pani odkrycia?

Lubię oliwskie drzwi, choćby te zielone, dwuskrzydłowe, w kamienicy przy alei Grunwaldzkiej, ich wielką ozdobą są płaskorzeźbione rybie głowy z płetwami. Nad nimi znajduje się okazały kartusz, a powyżej rodzynek w skali Oliwy – oryginalnie zachowany witraż. Jest też sporo urodziwych okien, z profilowanymi słupkami i ślemionami, takich, których dziś już się nie tworzy. Dlaczego? Niestety, to kwestia rachunku ekonomicznego. Wykonanie przez rzemieślnika drewnianego okna na miarę, z dbałością o odpowiednie profilowanie czy inne dekoracyjne niuanse, jest ogromnie czasochłonne i tym samym kosztowne. Inna sprawa, że brakuje na rynku rzemieślników, którzy posiadają takie umiejętności, jak również konserwatorów, którzy potrafią nadawać starym oknom czy drzwiom drugie życie. Nie mogę nie wspomnieć tu o charakterystycznych dla Oliwy werandach, które zachwycają drewnianymi, ażurowymi dekoracjami.

Zachwycają też zwykłe niezwykłe... klamki.

Tak, niestety tych sprzed 1945 r. uchowało się niewiele. Mieszkańcy, którzy pamiętają Oliwę z czasów tuż powojennych przyznają, że mosiężnych klamek wtedy było o wiele więcej, niestety w latach 50., a i później padały ofiarą kradzieży.

Mieszkańcy doceniają piękno, w którym mają szczęście żyć?

Dla nich to z jednej strony przywilej, bo dane im mieszkać w zabytkowych, wiekowych murach, a z drugiej strony obowiązek, bo muszą o te mury i ich wyposażenie należycie dbać. Przede wszystkim są głodni wiedzy na temat historii swoich domów. Aby taką wiedzę im dostarczyć jesienią zorganizowaliśmy spacery szlakiem detalu oraz warsztaty z konserwacji drzwi i okien. Zainteresowanie było ogromne! Konserwacja detalu to dla mieszkańców zabytków duże wyzwanie. Jak już wspomniałam, nie zawsze mają się do kogo zwrócić, gdy coś wymaga naprawy lub konserwacji. Gdy drzwi są wyszczerbione, gdy sypie się stolarka okienna. Naprawa jest kosztowna, a do tego niewielu jest specjalistów, którzy podjęliby się konserwacji, niewielu rzemieślników, którzy byliby w stanie pomóc komuś, kto chciałby uratować swoje stare okno zamiast wymienić je na nowe, plastikowe. Niestety, wszechobecna konsumpcja, która nas zjada, pożera też piękną, unikatową materię, która jest wokół nas. Jeszcze jest…

Fot. Paweł Piętak

Polichromia w niszy elewacji willi Tannenheim z 1898 r.

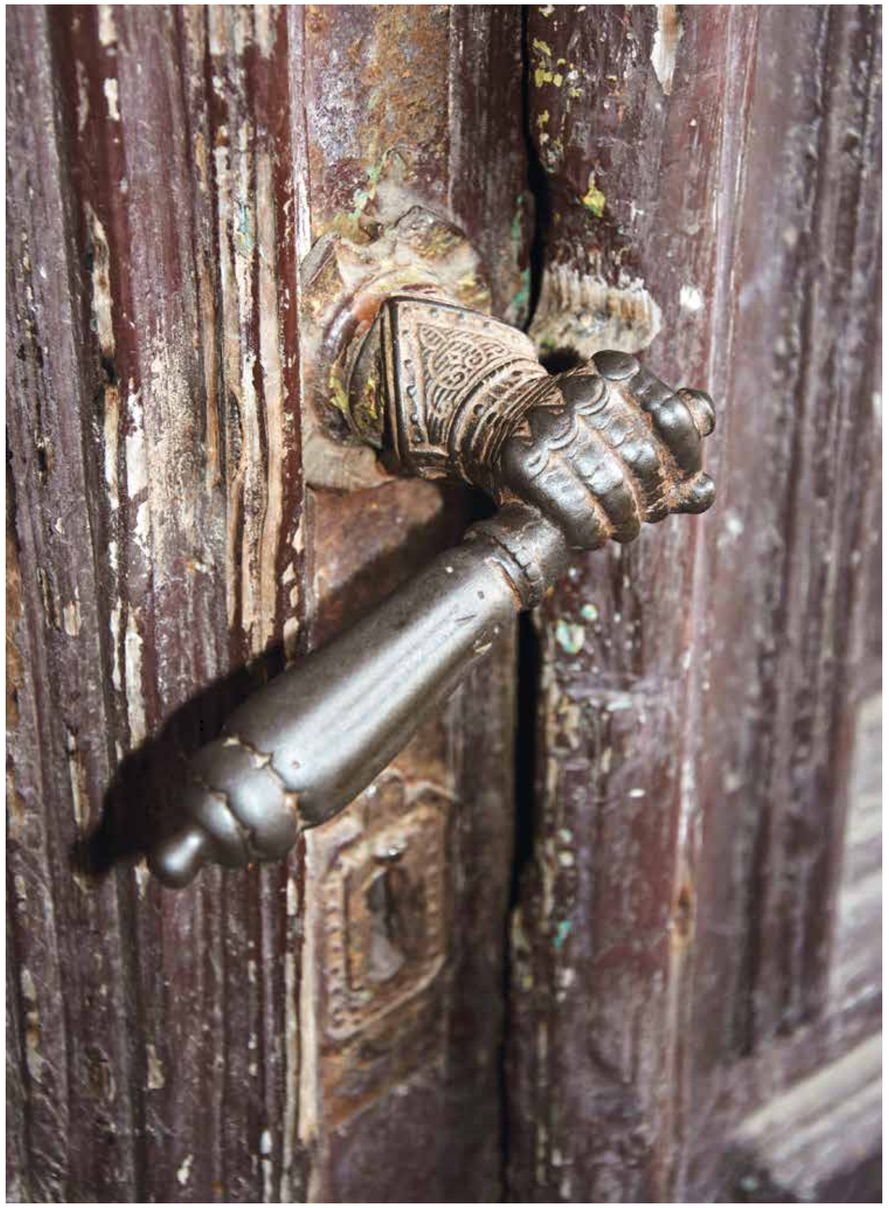

Codziennie przecież naciskamy na klamkę, codziennie otwieramy okno, stąpamy po posadzce

Zdjęcia Paweł Piętak

Projekt „Uwaga, detal!”

REALIZUJE FUNDACJA POLANKI MAJĄCA NA CELU ODKRYWANIE, BADANIE ORAZ OCHRONĘ DZIEDZICTWA KULTUROWEGO GDAŃSKA. W SWOJE DZIAŁANIA FUNDACJA ANGAŻUJE SPOŁECZNOŚĆ LOKALNĄ, W MYŚL ZASADY, ŻE POZNANIE DZIEDZICTWA JEST PIERWSZYM KROKIEM DO DOCENIENIA JEGO WARTOŚCI I WYKSZTAŁCENIA POTRZEBY JEGO OCHRONY. FUNDACJA POWOŁAŁA GDAŃSKIE ARCHIWUM SPOŁECZNE GROMADZĄCE ARCHIWALNE FOTOGRAFIE, DOKUMENTY Z KOLEKCJI PRYWATNYCH ORAZ INSTYTUCJONALNYCH. ZBIORY SĄ STOPNIOWO UDOSTĘPNIANE NA PORTALU OSA.ARCHIWA.ORG

Elżbieta Benkowska

JESTEM FANKĄ ORUNI, JEJ DUMNĄ MIESZKANKĄ, LOKALNĄ PATRIOTKĄ

fot. Archiwum prywatne

- Z hukiem weszłam w filmowy świat i to mnie zupełnie przytłoczyło

Elżbieta Benkowska: Na Oruni nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić

GDAŃSK // Kilka lat temu w Cannes była o krok od Złotej Palmy. Jej „Olena", kręcona na Oruni, otrzymała nominację. Teraz Elżbieta Benkowska przygotowuje się do fabularnego debiutu zatytułowanego "Orunia 4ever". Zdjęcia w tym roku

Ryszarda Wojciechowska
r.wojciechowska@zawszepomorze.pl

Pomysł na ten film, jak mówi sama reżyserka, jest luźno inspirowany historią telewizji Sky Orunia, którą na przełomie lat 80. i 90. założył Zbigniew Klewiado.

Na pytanie: – „Co ty wiesz o Sky Oruni", odpowiada ze śmiechem, że z pewną fascynacją oglądała program tej stacji w dzieciństwie.

- Była to pierwsza w historii polska, niezależna telewizja, na długo przed Polsatem czy TVN, o której warto przypomnieć. A poza tym jestem fanką Oruni, jej dumną mieszkanką, lokalną patriotką. I boli mnie to, że wiele osób ma nadal złe wyobrażenie o naszej dzielnicy. Tym filmem chcę to zmienić. Pokazać, że tu też mieszkają wspaniali ludzie.

Scenariusz do filmu, który napisała sama Benkowska, został nagrodzony na festiwalu OFF Camera Krakowie. Opowiada historię dwóch młodych i biednych chłopaków. W chylącej się ku upadkowi komunistycznej Polsce zakładają piracką telewizję, żeby spełnić swoje marzenia o sławie, pieniądzach i pięknych kobietach. Telewizja okazuje się złotym biznesem, jednak osiągnięty przez nich sukces, wystawia ich przyjaźń na próbę, zmuszając do odpowiedzi na pytanie - czy sława i pieniądze to rzeczywiście synonimy szczęścia.

- Ci dwaj bohaterowie to postacie fikcyjne, wymyślone przeze mnie. Główną inspiracją do ich stworzenia byli praktycznie wszyscy moi koledzy, ale także moje przeżycia. Kiedyś, tak jak oni, myślałam, że pieniądze i sława to najważniejsze rzeczy w życiu. Że jak je zdobędę, to będę szczęśliwa. Całą energię i czas poświęcałam temu, żeby się to udało – opowiada reżyserka.

To podejście do życia zmienił wyjazd na festiwal do Cannes z „Oleną".

Tak to wspomina: - Z hukiem weszłam w filmowy świat i to mnie zupełnie przytłoczyło. W szkole filmowej, jak każdy, myślałam, że najważniejsze są Oscary, Palmy i cały ten blichtr, że przez to będę bardziej wartościowym człowiekiem. I wszystko poświęciłam, żeby to osiągnąć. Najbardziej było mi żal mojego psa, któremu nie mogłam wytłumaczyć: – Sorry, nie mam dla ciebie czasu, bo muszę robić film. I to mama cię wyprowadzi na spacer. Flirtowałam też z pewnym chłopakiem. I na pytanie koleżanki: - Jak tam sprawy sercowe, odparłam: - Fajnie, tylko wiesz, muszę robić filmy. Nie ma czasu na miłość.

fot. Archiwum prywatne

- Odwagę do spełniania marzeń mam dzięki Oruni

W Cannes, na tym wspaniałym festiwalu - za który byłam wdzięczna, że mi się udało tam być – pomyślałam jednak - tyle poświęceń dla tygodnia high lifu? Tyle wyrzeczeń, żeby przez tydzień pić darmowego szampana? - wspomina.

Teraz widzi jak wiele osób jest skupionych na zdobywaniu pieniędzy, jak przebija się ta narracja, że trzeba pracować po 16 godzin, żeby osiągnąć sukces.

- Ale nie o to w życiu chodzi, żebyśmy zyskali te parę groszy na przedmioty, które – jak się nam wmawia – dadzą nam szczęście, czyli na mieszkanie, nowy Iphone, samochód czy markowe ubrania. I to jest przesłanie tego filmu.

Kiedy wspominamy Sky Orunię, opowiada, jak bardzo jej się podobała taka punk rockowa odwaga jej założyciela (prywatnie właściciela warsztatu napraw telewizorów) i samej stacji. I to, że pierwsza, niezależna telewizja powstała właśnie na Oruni.

Kiedy przypominam, że to była na początku stacja piracka, Elżbieta Benkowska ze śmiechem tłumaczy: - Bo na Oruni nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić. Uważam, że ta historia powinna iść w świat, że coś takiego się wydarzyło właśnie tu, w mojej dzielnicy. Więc kto jak nie ja miałby o tym opowiedzieć?

Historię Sky Oruni odkryła teraz na nowo, przygotowując się do scenariusza.

- Najbardziej chodzi o tego ducha stacji. Kiedy mówiłam w szkole, że chcę wysłać „Olenę" na festiwal do Cannes czy do Berlina, to śmiano się ze mnie. A ja pytałam – czemu nie? Tę odwagę do spełniania marzeń mam dzięki Oruni. A ta stacja też wzięła się z odwagi. Rozmawiałam z Jurkiem Radosem, który jest teraz zastępcą dyrektora Gdyńskiej Szkoły Filmowej, a zaczynał w tej telewizji. Opowiadał, że został zatrudniony tylko dlatego, że miał kamerę. Zresztą przyjmowano tam każdego kto dysponował pomysłem, kamerą i czasem. Na antenie leciały filmy prosto z kaset z wypożyczalni. I ta apoteoza wolności i ten żywioł to coś wspaniałego. Monika Jarząbek, która jest kierowniczką Dworku Artura na Oruni też pracowała w tej stacji. Opowiadała mi jedną z wielu anegdot jakie krążą o Sky Oruni. Pewnego dnia lektorka usiadła w ogródku pana Klewiado, czytając stamtąd wiadomości. Za nią wisiał tylko taki materiał maskujący, który w jednej chwili złożył się w harmonijkę. A wtedy oczom widzów ukazała się kobieta, która wiesza pranie. Samo życie – śmieje się.

- Niektórzy myślą, że trzeba opowiadać historie, dziejące się w egzotycznych miejscach, albo bardzo mocne, jak handel ludźmi czy pedofilia. A ja wolę opowiadać o sprawach, które są blisko mnie. Pokazywać mój świat i moje miasto całej reszcie. To się udało przy „Olenie". Był to bardzo osobisty film, nakręcony też na Oruni i mam nadzieję, że tak będzie z debiutem pełnometrażowym „Orunia 4ever".

Elżbieta Benkowska, która ukończyła reżyserię w Gdyńskiej Szkole Filmowej i w Szkole Wajdy jest także absolwentką slawistyki i doktorantką na Uniwersytecie Gdańskim. Od czasu nominacji „Oleny" do Złotej Palmy nie próżnowała.

- Nie jestem osobą, która kieruje reflektory przez cały czas na siebie, ale przez te lata pracowałam przy wielu innych filmach – tłumaczy.

Wyreżyserowała również pierwszą część filmowego tryptyku „Nowy świat" (produkcja Akson Studio), który miał premierę na prestiżowym festiwalu filmowym w Montrealu.

Pracowała z Andrzejem Wajdą. Była jego asystentką przy filmie „Powidoki".

- Tak jak kiedyś Agnieszka Holland – wtrącam.

- Albo Andrzej Żuławski, który też był jego asystentem przy „Popiołach" – dodaje Elżbieta.

To producent Michał Kwieciński załatwił jej tę pracę. Pierwsze spotkanie z Wajdą? Usłyszała tylko: - No, to fajnie. Będziesz asystentem, tak jak ja byłem u Aleksandra Forda.

Do jej obowiązków należało zajmowanie się aktorami m.in. Bogusławem Lindą, który w tym filmie grał główną rolę.

Ta praca to była dla niej magiczna historia, ale z różnymi przygodami – wspomina.

Przed zdjęciami w Łodzi, Bogusław Linda udzielił wywiadu, w którym padło zdanie, że „Łódź to miasto żuli". Następnego dnia mieli ujęcia na Włókienniczej, która słynęła z tego, że jest najbardziej niebezpieczną ulicą w tym mieście.

- Na dzień dobry przywitało nas graffiti: „je-..ć filmowców", „Boguś Linda żul" itd. Mieszkańcy ulicy zebrali się, atmosfera na planie i wokół niego gęstniała. Wiedzieliśmy, że ci ludzie czuli się poniżeni tymi słowami. Wyszłam do nich, żeby porozmawiać. Część z nich to byli fani Widzewa, a że ja jestem fanką Lechii, szybko znaleźliśmy wspólny język. Rozmawialiśmy o dawnych czasach, o tym m.in. jak oni bili się z fanami Lechii przy ulicy Traugutta we Wrzeszczu. I tak rozladowaliśmy atmosferę. Zyskałam tym duży szacunek, zwłaszcza pionu operatorskiego, który zobaczył, że może na mnie liczyć także w niełatwych sytuacjach – opowiada Elżbieta.

Na pamiątkę dostała od Andrzeja Wajdy książkę z osobistą dedykacją. Podglądając mistrza przy pracy, nauczyła się, że najbardziej liczy się szacunek do ludzi na planie. Że to nigdy nie jest film reżysera tylko dzieło całej ekipy.

Pracowała też jako drugi reżyser przy filmie „Ptaki śpiewają w Kigali" małżeństwa Krauzów. Była na początku przerażona, ale aktorka Eliane Umuhire, która zdobyła nagrodę za tę rolę na gdyńskim festiwalu filmowym, powiedziała jej: - Ela, skoro Joanna i Krzysztof wierzą, że dasz radę, to znaczy, że dasz radę.

- Pamiętam scenę w wieżieniu, którą sam musiałam wyreżyserować. Czterystu statystów, którzy mówili w innym języku, niż ja. I udało mi się to zrobić. Po tej scenie doszłam do wniosku, że nie powinnam się już niczego bać jako reżyserka.

IMPREZY //

Sportowy weekend na Pomorzu

Początek roku to jeszcze nie jest czas niezliczonych propozycji dla kibiców sportowych. Piłkarze, ci z ekstraklasy, wybiegną na boiska dopiero na początku lutego, a ci z niższych lig nieco później. Na razie więc pozostaje dopingować przedstawicieli halowych gier zespołowych

W Energa Basket Lidze Kobiet w Gdyni na sobotę 8 stycznia o godz. 14 jest zaplanowany mecz GTK Gdynia – Energa Toruń. Jeśli koronawirus nie pokrzyżuje szyków koszykarkom, to spotkanie będzie można zobaczyć w hali przy ul. Olimpijskiej.

W weekend zagrają też koszykarze sopockiego Trefla. Ich rywalem będzie drużyna Spójni Stargard Szczeciński. Mecz Energa Basket Ligi zaplanowano na niedzielę, 9 stycznia o godz. 17.30 w Ergo Arenie.

Siatkarki Gedanii SA zapraszają na swój mecz o mistrzostwo II ligi z Energetykiem II Poznań. To spotkanie odbędzie się w sobotę, 8 stycznia o godz. 16.30 w hali ZSE przy ul. Reja w Gdańsku-Wrzeszczu.

W Bojanie w sobotę, 8 stycznia o godz. 9 rozpocznie się piłkarski turniej o Puchar Prezesa Pomorskiego Związku Piłki Nożnej Lotos Griffin Cup. W turnieju wezmą udział dziewczęce drużyny piłkarskie do lat 13 i 15 z Gdańska, Gdyni, Malborka, Tczewa, Pucka, Łubiany, Tuchomia, Wejherowa i Bytowa.

Fot. Karol Makurat

Mecz Trefla zaplanowano w Ergo Arenie na niedzielę

Przemysław Szap ar: Sport to najprostszy sposób, by odzyskać równ owagę psychofizyczną i kontrolę nad wła snym życiem

Adam Mauks
a.mauks@zawszepomorze.pl

SPORT I ZDROWIE // Jesteśmy zaangażowani w szeroko pojętą kon sumpcję, tymczasem nasze dzieci chodzą po ulicach jak zombie, przemieszczając się nie oczu od smartfona – mówi Przemysław Szapar, sportowiec, tren er i filozof.

Powiedzenie Juwenalisa z Akwinum „Mens sana in corpore sano", czyli w zdrowym ciele, zdrowy duch" zostało potwierdzone naukowo - ruch zwiększa sprawność mózgu. Jedno z jego znaczeń to „w okresie intensywnego wysiłku intelektualnego nie rezygnuj z aktywności fizycznej", ale inne mówi, że na naszą psychikę ogromny wpływ ma ruch i aktywność fizyczna. Jak Ty to widzisz?

Kiedy zaczynałem biegać, miałem 10 lat, kiedy miałem 15 lat już trochę interesowałem się filozofią, ale trudno powiedzieć, że już to sobie wszystko wtedy racjonalnie poukładałem. Owszem, wiedziałem, że sport i ruch to jeden z filarów mojego życia i musi być to dobre dla wszystkich. Kiedy miałem 16 lat, mój przyjaciel z podwórka, który chyba zbyt dużo się uczył, doznał załamania nerwowego. Wylądował w szpitalu i po wyjściu z niego był pod silnym wpływem leków. Pamiętam, że namawiałem go do ruchu, kłątem lekarzy i przekonywałem, że tylko ruch mu pomoże. Doszedł do siebie. Przekonałem się, że ruch jest panaceum na wszystkie problemy, albo ich znaczącą część. 30 lat temu twierdziłem, że ruch powinien być zapisywany na recepty i dziś zauważam, że psychiatrzy i psychologowie coraz więcej uwagi zwracają na to, ile ich pacjent poświęca czasu na aktywność fizyczną. Jeżeli tego czynnika nie biorą pod uwagę, to znaczy że są ignorantami. „W zdrowym ciele zdrowy duch"- o słuszności tego motta wiedzieli już starożytni, a ikony naszej europejskiej kultury, ci którzy tworzyli jej zręby, jak Platon czy Heraklit startowali w igrzyskach olimpijskich. Zwykli ludzie, czyli większość tego świata jeszcze do niedawna, by przeżyć, pracowała fizycznie, a zwykłe codzienne czynności wymagały dużo więcej wysiłku niż dzisiaj. Dzieci były sobą, a podwórko, place zabaw to była podstawa. I nagle, w ciągu kilku dekad w Polsce doszło do ogromnej zmiany, w stylu życia, nawyków żywieniowych oraz całym szeregu innych czynników

Fot. Archiwum P. Szapara

Przemysław Szapar stara się spędzać ze swoją córką jak najwięcej czasu

jak Internet, smartfon. A nasze ciała są jeszcze wciąż niemal takie same jak za czasów Platona. Ta zmiana to ogromny wstrząs dla naszych organizmów, a szczególnie jest to niebezpieczne dla dzieci i młodzieży.

Żyjemy w czasach pandemii. Czy to ona ma decydujący wpływ na kondycję psychiczną i to, że tak wiele osób ma problemy tej natury?

Pandemia jest dodatkową porcją oliwy do ognia, to przyspieszyło wiele procesów. Problemy psychiczne dzieci i młodzieży to zauważalny, ogromny problem już od kilku lat, obecnie jest to już prawdziwa pandemia, tylko że rodzice się tego wstydzą. Ukrywamy prawdziwą skalę. Covid przyspieszył problem, ale głównym sprawcą tego gigantycznego problemu jesteśmy my, dorośli.

Martwimy się obecnie o inflację, ceny prądu, braki możliwości wyjazdu np. do Hiszpanii, tymczasem w pokoju obok siedzą nasze dzieci z przyrośniętą twarzą do telefonów. Paradoks polega na tym, że na Facebooku dyskutujemy o wolności, wolnych mediach itd. tymczasem nasze dzieci to już prawdziwi niewolnicy, a 50 proc. z nich ma już objawy zaburzeń. Przyczyną nie jest Covid, tylko głównie brak ruchu, którego głównym organizatorem w obecnych czasach jest rodzic. Jesteśmy zaangażowani w szeroko pojętą konsumpcję, a nasze dzieci chodzą po ulicach jak zombi, przemieszczając się nie odrywają oczu od smartfona. Wiem że nie jest łatwo, mam dwójkę dzieci w wieku 18 i 7 lat. Przeżywamy z żoną to samo co wszyscy rodzice, czasem nam brakuje konsekwencji, czasem odpuszczamy, ale cały czas walczymy i jesteśmy świadomi jak ważny jest regularny ruch, oraz, po prostu, poświęcony dzieciom czas.

Zastanawiasz się nad tym jakie mogą być konsekwencje tego odpuszczania?

Mogę powiedzieć tylko tyle, że ojciec mojego przyjaciela jest lekarzem psychiatrą z ponad 50-letnim doświadczeniem. Kiedy z nim ostatnio rozmawiałem był zatrwożony tą sytuacją. Powiedział mi, że już nie zajmuje się nikim innym tylko dziećmi. Tak wiele z nich potrzebuje pomocy psychiatry. Dzieci są alkoholikami, lekomanami, kompletnie zagubionymi w tym świecie, bo nikt się nimi nie interesuje. Koleżanka, która jest psychoterapeutką powiedziała mi niedawno, że mogłaby pracować 24 godziny na dobę, a i tak nie ma szans, by pomóc wszystkim, którzy tego potrzebują. Dramatyczny wzrost prób samobójczych wśród dzieci i młodzieży w krajach rozwiniętych i także w Polsce, to prawdziwe i straszne konsekwencje. Regularny ruch, choćby małe wyzwanie, któremu sprostasz, podnosi znacząco naszą samoocenę, czyni nas bardziej odpornymi na stres i wiele innych szkodliwych czynników takich jak otyłość i cukrzyca typu II, które już są przyczyną znacznej części zgonów na świecie. Konsekwencje braku ruchu i naszych zaniechań, będą teraz się nasilać i bardzo szybko dojdziemy do ściany. Tymczasem my oglądamy kolejny serial na Netfliksie…

Czy w naszym systemie edukacji jest wystarczająco dużo informacji, o wpływie aktywności fizycznej na zdrowie psychiczne?

To jest złożony temat i pewnie nauczyciele, którzy to przeczytają będą mieli inne zdanie, ale według mnie szkolnictwo w ogóle nie jest przygotowane do nowych wyzwań i zagrożeń. Żeby była jasność, nie jest to tylko odosobniony problem polskich szkół. System dał się zaskoczyć, ludzie odpowiedzialni za szkolnictwo na każdym szczeblu, nie nadążają za dynamiką zmian. Nauczyciele są zdezorientowani. Dodatkowo bierność i nieprzystosowanie Kościoła, który tradycyjnie odgrywał ważną rolę, obecnie przeżywa poważny kryzys. W sposób dramatyczny problem pogłębia nieodpowiedzialna, demagogiczna i przesiąknięta ideologią, polityką, dyskusja na temat płciowości. W Polsce coraz więcej jest przypadków, że dzieci są „diagnozowane" jako osoby np. niebinarne. Jestem po rozmowie z pedagogiem szkolnym i obraz jest gorszy niż zły. Przypadków, że dzieci otrzymują od psychologów ze stowarzyszeń zaangażowanych w ruch LBGT certyfikat, powodujący, że takie dziecko w szkole jest poza wszelkimi obowiązkami i panującymi zachowaniami, jest mnóstwo. Pozytywne jest to, że obecnie w szkołach zajęcia z WF-u są cztery razy w tygodniu. Idąc dalej, patrzę co robi moja gmina, by walczyć z narastającym problemem braku aktywności. W Gdyni wydaje się miliony złotych na projekty lodowiska, pływalni, po czym nie dochodzi do realizacji. Zabiera się coraz więcej przestrzeni, i oddaje się ją deweloperom. Samorząd ma bardzo dużo możliwości i narzędzi, by stymulować aktywność fizyczną mieszkańców. Zwykły człowiek, którego aktywność sprowadza się do tego, by walczyć o przetrwanie, spłacać kredyt, może trochę przespać sprawę, być zagubionym, ale dlaczego robią to nasze elity? Może dlatego, że jednak nie są naszymi elitami? Myślę o wszystkich tzw. elitach od 1989 roku, bo wcześniej wyglądało to inaczej. Sport kiedyś był bardzo istotny. Był system, było szkolenie, ale byli też ludzie z poczuciem misji, trenerzy poświęcający cały swój czas na to, by dzieci uprawiały sport w szkole i w klubach. Niestety, w Gdyni jest tak, że jeśli nikt nie organizuje sobie zajęć prywatnie, to miasto nie ma nic do zaproponowania. A to jest proste, jeśli dysponuje się takimi narzędziami i pieniędzmi jakie Gdynia ma. Choćby cykliczne spotkania z dziećmi, np. w sobotę jakieś zajęcia ruchowe, skorzystają też rodzice. Gdyby tylko ktoś chciał poważnie porozmawiać, to mam na to, dziesiątki pomysłów. Przecież tych ludzi, którzy w sobotę siedzą pół dnia w piżamach i coś zrobiliby, ale do końca nie wiedzą co, jest mnóstwo. Musi być wyraźny przekaz, że coś takiego jest i trzeba z tego korzystać. Przecież gdyńskie kluby dostają milionowe dotacje za promowanie miasta. Dlaczego nie zobowiązać ich do organizacji takich zajęć dla dzieci, choćby raz w tygodniu? Są piłkarze, koszykarze i koszykarki, rugbiści. Jestem pewien, że chętnie by się w podobne akcje zaangażowali. Postawa gdyńskiego samorządu jest poniżej wszelkiej krytyki i jest to tendencja utrzymująca się od wielu lat.

To, co mówisz brzmi bardzo pesymistycznie.

To chyba raczej realizm. Gdybym był pesymistą, nie robiłbym tych rzeczy, które robię. Wykonuję codziennie po cichu ogromną pracę i nie jest to moja działalność komercyjna. Trenuję dzieci, dorosłych. Odbywam mnóstwo rozmów, staram się pomóc, uświadamiać. Moje dokonania są znane na świecie, ustanawiam rekordy, realizuję bardzo trudne cele i robię to z poczuciem misji. Patrzą na mnie moje dzieci i widzą, że choć mam 44 lata cały czas utrzymuję wysoką formę. Pokazuję, że ciężką pracą, poświeceniem, a nie szukaniem łatwych dróg, można osiągnąć wiele. Musimy jako ludzie się obudzić, bo większość z nas jest zdezorientowana, i gdzieś głęboko czuje lęk. On bierze się stąd, że tracimy kontrolę, nad ciałem i nad tym co dzieje się dookoła. A jednym z elementów odzyskania kontroli jest umiejętność sprostania własnej słabości. To można najłatwiej uzyskać poprzez aktywność fizyczną. Przełamując się i wychodząc pobiegać na ulicy czy w lesie, szanujesz swoje ciało, a przez to także duszę. Nie możemy być szczęśliwi, olewając nasze ciało. Praca kciuków na klawiaturze telefonu, to kpina z potrzeb naszego ciała. Zjada nas atrofia, a zdolności ruchowe naszych dzieci spadają w zastraszającym tempie i z tym wyzwaniem jesteśmy jako ludzie sami. Co nam zostaje? Pilnie przewartościujmy życie, dbajmy o zdrowie nie wtedy kiedy jest za późno. Regularna aktywność, spacery, jazda na rowerze, bieganie na pewno nam pomoże, a w diecie unikajmy produktów wysoko przetworzonych, róbmy zaprawy, kiszonki, gotujmy posiłki w domu i pamiętajmy, że ciało to świątynia duszy.

Fot. Archiwum P. Szapara

Przełamując się i wychodząc pobiegać na ulicy czy w lesie, szanujesz swoje ciało, a przez to także duszę

DZIERZGOŃ //

Team zbiera fundusze na defibrylator

Stowarzyszenie sportowe Dzierzgoń Team zainicjowało zbiórkę funduszy, by pozyskać dla Dzierzgonia defibrylator AED. Dziś takiego urządzenia w tym mieście brakuje, pomysłodawcy akcji chcieliby jego zainstalowania w dzierzgońskim centrum. Liczą na zebranie około 7 tysięcy złotych. Akcję promują w środowisku morsów – 13 lutego szykują Walentynkowy Zlot Morsów na jeziorze Kuksy.

MALBORK //

Muzeum Miasta Malborka nadal bez dyrektora

Bogdan Gałązka, który od 1 stycznia miał objąć stanowisko dyrektora Muzeum Miasta Malborka nieoczekiwanie złożył rezygnację z tej funkcji. Uzasadnił to zbyt niskim budżetem przeznaczonym na działanie muzeum w roku 2022. Obowiązki szefa tej samorządowej placówki pełnić będzie tymczasowo Krzysztof Andruszkiewicz, dyrektor Malborskiego Centrum Kultury i Edukacji.

KWIDZYN //

Jadłodzielnia w Kwidzynie już jest dostępna

Jadłodzielnia – miejsce gdzie możemy pozostawić zbędne produkty żywnościowe, zaś osoby w potrzebie mogą z nich korzystać – otwarta została przy siedzibie Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Kwidzynie. Czynna jest przez cały tydzień, całą dobę. Są tam lodówki na tzw. produkty mokre i szafki na produkty suche. Jadłodzielnia powstała w ramach Kwidzyńskiego Budżetu Obywatelskiego.

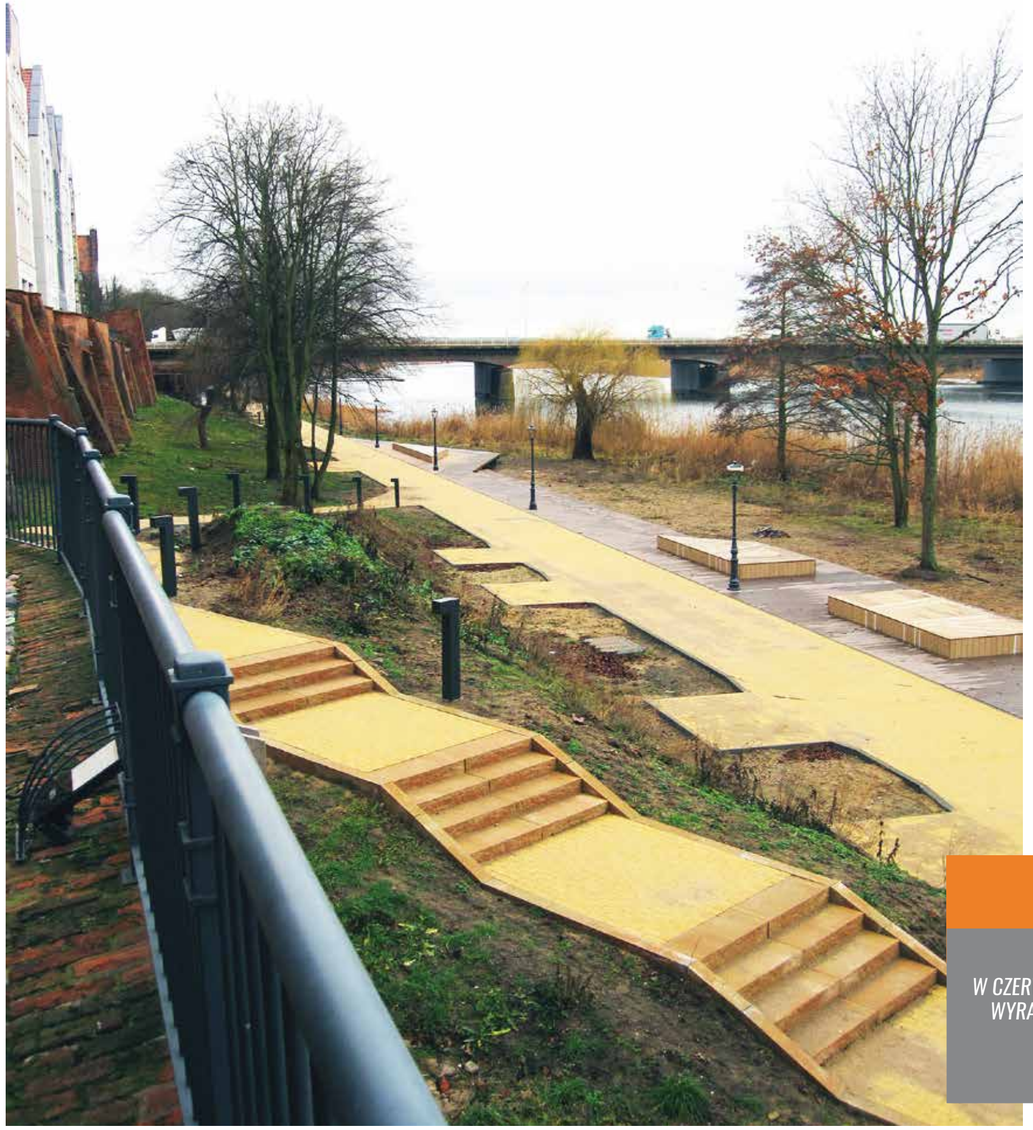

Fot. Piotr Piesik

Kolorystyka bulwaru w niczym nie przypomina ponurego asfaltu

Bulwar u stóp zamku przestanie straszyć, zacznie służyć ludziom

MALBORK // Mieszkańcy Malborka oraz licznie przybywający latem turyści już w lipcu mieć będą do dyspozycji kolejne miejsce, gdzie przyjemnie spędzą czas

Piotr Piesik
p.piesik@zawszepomorze.pl

Samorządowcy zapewniają, że w terminie zakończona zostanie modernizacja bulwaru wzdłuż brzegów Nogatu – kontrakt przewiduje oddanie całości w czerwcu bieżącego roku. W połączeniu z bryłą krzyżackiej warowni oraz odbudowywanymi kamieniczkami na szczycie nadrzecznej skarpy powstanie całość wizerunku miasta, będąca kompozycją historii z nowoczesnością.

Józef Barnaś, zastępca burmistrza Malborka zapewnia, że harmonogram prac ustalony z głównym wykonawcą – firmą Strabag, jest w tej chwili realizowany na poziomie 110 procent. Nie ma żadnego zagrożenia dla terminowego ukończenia bulwaru. Wprawdzie nawet niewielkie opóźnienie tragedią by nie było, zważywszy że na gruntowną przebudowę bulwaru trzeba było czekać od 1945 roku, lecz chodzi o możliwość korzystania z tego miejsca już podczas najbliższego lata.

Malborski bulwar przez długie lata był jakby niedostrzegany przez kolejne władze, niezależnie czy w dobie PRL - u czy już po roku 1989. Trudno się dziwić – ruch turystyczny koncentrował się w bezpośredniej okolicy zamku. Nadnogacka skarpa, przed rokiem 1945 gęsto zabudowana kamieniczkami, po kompletnym zniszczeniu w czasie walk została zrównana z ziemią i zabudowana koszmarnymi blokami w kształcie klocków. Wzdłuż Nogatu prowadziła trasa częściowo pokryta masą bitumiczną, w której szybko się pojawiły charakterystyczne koleiny. Inwestycji w tzw. infrastrukturę było jak na lekarstwo, nawet nielicznych ławek nikt nie naprawiał.

Jakby przekornie malborczycy chętnie korzystali z terenów nad rzeką. Drużyny żeglarskie, kajakarze, wędkarze, latem kąpielisko miejskie.

Fot. Piotr Piesik

Oko cieszą stylowe latarnie

Dopóki przepływ wody w Nogacie był znaczący (kiedyś na tej rzece można było zobaczyć nawet barki!) nurt nie zarastał roślinnością i latem oblegane były też „dzikie plaże". Niestety, z czasem bulwar był coraz bardziej zaniedbany i wyglądał po prostu obskurnie.

Przyszedł moment, kiedy już nie można było tego nie zauważać. Muzeum Zamkowe konsekwentnie odbudowuje i odnawia kolejne partie zamku oraz jego otoczenia. Blokowisko na dawnej starówce pozostanie, lecz na niezabudowanym na szczęście skraju nadrzecznej skarpy ruszyła budowa rzędu kamienic, stylizowanych wyglądem na dawną epokę. W miejscu trwałej ruiny tzw. Szkoły Łacińskiej powstał nowoczesny obiekt Malborskiego Centrum Kultury i Edukacji. Odrestaurowano mury chroniące nadnogacką skarpę. Pozostał tylko bulwar, coraz gorsza wizytówka miasta, nastawionego przecież na turystów.

Przez kilkanaście lat samorząd poszukiwał dofinansowania dla modernizacji bulwaru, własnym sumptem trudno byłoby to przeprowadzić. Wreszcie się udało, pozyskano blisko 7 milionów złotych z Programu Współpracy Transgranicznej Polska – Rosja 2014-2020. Dołożyć i tak trzeba ponad 4 miliony z malborskiego budżetu. W zdobyciu dotacji pomogła dobra współpraca z miastem Swietłyj w obwodzie kaliningradzkim.

Zakończenie prac w czerwcu, lecz już teraz wyraźnie widać kształt nowego bulwaru. Zaczyna się przy drewnianej kładce przez Nogat, biegnie wzdłuż osiedla, mija gmach magistratu, potem kąpielisko miejskie, kończy przy tzw. plaży wojskowej, gdzie prowadzi ulica Bażyńskiego, jeszcze brukowana „kocimi łbami". Kolorystyka bulwaru w niczym nie przypomina ponurego asfaltu, dominuje kostka w pastelowych barwach. Jest tu wiele ławek i miejsc odpoczynku, także tereny przygotowane pod kątem organizacji spotkań oraz imprez. Do tego oświetlenie ze stylowymi latarniami. Zainstalowane mają być kamery miejskiego monitoringu, bowiem nie brakuje przypadków szybkiego niszczenia tego, co dla wspólnej korzyści zrobiono.

- Podkreślam, że cała modernizacja bulwaru nad Nogatem początkowo miała mieć znacznie skromniejszy zakres. Lecz kiedy już przystąpiliśmy do dzieła, pojawiła się szansa poszerzenia projektu – wskazuje Józef Barnaś. - Dlatego wydłużony został odcinek poddany przebudowie, od kąpieliska miejskiego do tzw. plaży wojskowej, gdzie są hangary klubów kajakowych. Remontowany jest też dalszy odcinek bulwaru w kierunku północnym, łącznie z mostkiem nad Kanałem Juranda, wpadającym do Nogatu.

Kiedy w lipcu 2020 roku ruszały prace na bulwarze, nikt nie myślał o rewitalizacji zabytkowej baszty obronnej znajdującej się obok mostów drogowych na Nogacie oraz o uporządkowaniu terenu za gmachem Urzędu Miasta, przylegającym do bulwaru. Rzec można – za jednym zamachem uda się zrobić wszystko. No, może nie do końca, ponieważ baszta zostanie na razie zabezpieczona specjalnym zadaszeniem przed dalszym niszczeniem.

Na przeciwległym brzegu Nogatu są znakomite punkty widokowe. Latem panorama będzie kompletna i znakomita.

ZAKOŃCZENIE PRAC W CZERWCU, LECZ JUŻ TERAZ WYRAŹNIE WIDAĆ KSZTAŁT NOWEGO BULWARU

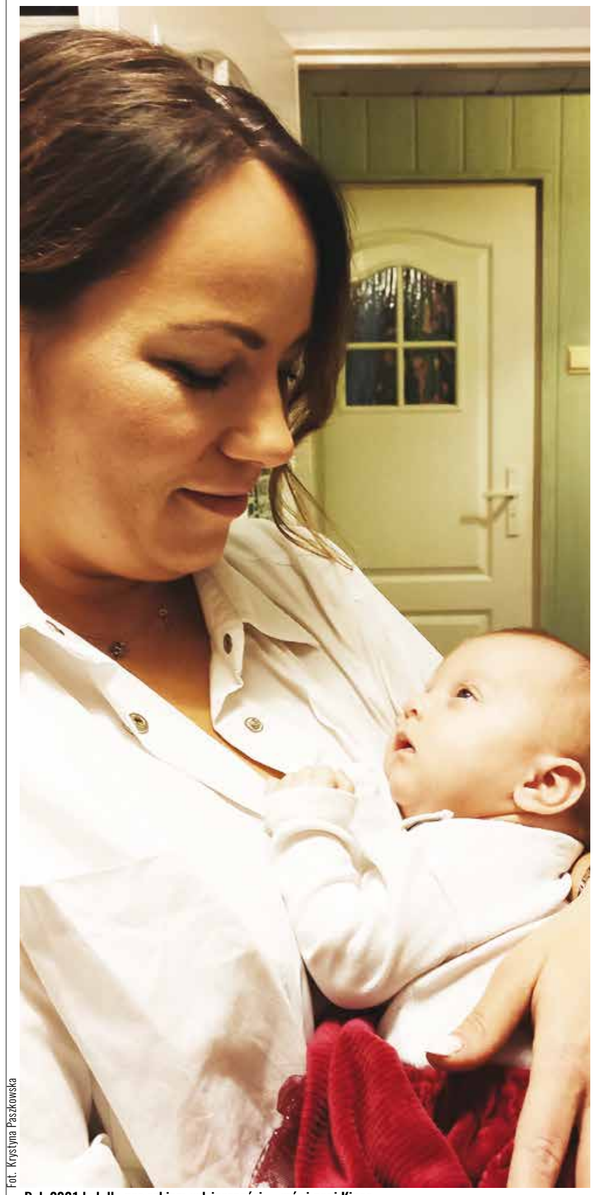

fot. Krystyna Paszkowska

Rok 2021 był dla nas rokiem wdzięczności – mówi pani Kinga

Dwie dziewczynki i chłopiec, czyli trojaczki w Tczewie. Pierwsze po 30 latach

Krystyna Paszkowska
k.paszkowska@zawszepomorze.pl

TCZEW // W październiku 2021 r. na świat przyszły: Laura, Jakub i Maja. Przeszczęśliwi rodzice to Kinga i Marcin Muńscy. Przy znają, że te trzy zuchy kompletnie ich zaskoczyły

Państwo Muńscy przyznają, że trojaczki to dla nich niespodzianka. - Rok 2021 był dla nas rokiem wdzięczności Bogu za to, że spełniły się nasze marzenia – mówi pani Kinga. - Jesteśmy ze sobą już kilka lat i od samego początku planowaliśmy mieć dzieci.

Przez długi czas starali się o potomstwo.

Chwile zwątpienia

- Mieliśmy już chwile zwątpienia, że nie będzie nam dane zostać rodzicami – wyznają małżonkowie. - Pogodziliśmy się z faktem, że pozostaniemy ciocią i wujkiem dla dzieci naszego rodzeństwa. Że zaakceptujemy los taki, jakim jest. W październiku postanowiliśmy się pobrać. Zaręczyliśmy się. Zaczęliśmy planować ślub i nagle się okazało, że jestem w ciąży.

- To był dla nas szok – dodaje Marcin. - Najpierw okazało się, że jest jedno dziecko, potem że jest dwójka, a skończyło się na trójce. Lekarz zażartował, że to może nie być koniec – byłem trochę wystraszony. Na początku zresztą były dwa scenariusze. Ten pierwszy był 3:0 na rzecz córek, ale drugi zakładał już dwa do jednego. I tak się stało: jest syn i dwie córeczki – dodaje dumny tata.

Pani Kinga przeżyła jeszcze kolejne zaskoczenie, kiedy poszła do swojej babci podzielić się dobrą nowiną, planowanymi narodzinami trójki pociech. - Babcia wcale nie była zaskoczona, że będzie więcej niż jedno dzieciątko – wspomina mama trojaczków. - Usłyszałam, że w naszej rodzinie już były trojaczki. Moja prababcia je miała, czyli mam to w genach.

W 8. tygodniu ciąży pani Kinga już wiedziała, że będzie więcej niż jedno dziecko. O trójce nieco później.

Nietypowy urodzinowy prezent

- Za to ja dowiedziałem się dopiero w swoje urodziny – śmieje się pan Marcin. - Żona zrobiła mi prezent: pudełko, a w nim trzy smoczki i liścik. Byłem trochę zdezorientowany. Ale co ty mi dajesz, przecież ja wiem, że jesteś w ciąży - stwierdziłem. Dopiero gdy liścik przeczytałem, zaczęło do mnie docierać jakie szczęście nas spotkało.

Laura, Jakub i Maja urodziły się w 35. tygodniu ciąży w UCK w Gdańsku. Laura przyszła na świat jako pierwsza, ważyła 2200 g i była najbardziej hałaśliwa. Jako drugi świat powitał Kuba z wagą 1790 g, a ostatnia pojawiła się Majka z wagą 2120 g. Dziewczynka zrekompensowała sobie bycie ostatnią największym wzrostem.

- Kubuś już w ciąży troszkę nam broił w brzuszku – opowiada pani Kinga. - Był taki moment, kiedy to intuicja podpowiadała mi, że coś się dzieje, coś jest nie tak. Odczuwane przeze mnie ruchy były inne niż wcześniej. Lekarz zaufał mojej intuicji, podłączył mi KTG i moje obawy się potwierdziły. Kuba odciął częściowo dopływ tlenu dziewczynkom. Na szczęście, wystarczyło zachęcić Kubusia do zmiany pozycji, żeby sytuacja się unormowała.

Laurka rządzi

Laura nadaje prym całej trójce. Pierwsza się budzi i jak tylko złapie kontakt wzrokowy, to już nie ma możliwości żeby się nią nie zająć.

- Uczymy ich, że o godz. 19.00, choćby nie wiem co się działo, gasimy światła i przyzwyczajamy dzieci do ciszy nocnej – opowiadają rodzice. - Czasem troszkę przy nich trzeba posiedzieć, aby się wyciszyły. W tedy całe noce przesypiają, budzą się tylko na karmienie.

Kubuś ma chyba jakiś wewnętrzny zegarek, bo budzi się niemal co do minuty co trzy godziny - śmieje się tata trojaczków.

- My już wiemy, że z dziewczynkami musimy się troszkę spieszyć, bo braciszek nie odpuści, jak obudzi się głodny – podsumowują rodzice.

fot. Krystyna Paszkowska

Mieliśmy już chwile zwątpienia, czy będzie nam dane zostać rodzicami – wyznają małżonkowie

Jak brat z siostrami rozmawia

Państwo Muńscy żartują, że dzieci się ze sobą komunikują. Jak Laurka za głośno płacze, a Kubuś jest śpiący, to i on zaczyna popłakiwać, ale tak cichutko, jakby dawał nam znać, abyśmy przyszli do siostry. Laurka się uspokaja, a Kubuś spokojnie zasypia.

A jak narodziny wnucząt wpłynęły na dziadków?

- Mój tata popłakał się ze szczęścia – przyznaje pani Kinga.

- Moi rodzice są już dziadkami, brat ma już córkę i syna, więc to nie były dla nich pierwsze wnuki – dodaje pan Marcin. - Jak się opowiada o naszych trojaczkach to jakoś trudno innym wyobrazić sobie, jak wygląda zajmowanie się trójką, a nie jednym niemowlęciem.

- To co mnie boli, to konieczność wyboru, którym z dzieci zajmę się jako pierwszym, gdy wszystkie płaczą – dzieli się rozterkami pani Kinga. - Musieliśmy przeorganizować nasze życie. Na przykład, nauczyliśmy się jak szybko przebierać dzieci, jak karmić naraz całą trójkę czy jak kąpać "taśmowo" i wszystko robić tak, aby starczyło jeszcze trochę czasu dla nas samych. Każde z naszych maluszków ma też swój dzień czułości. Na szczęście, nie wszystkie tego samego dnia, jakby wyczuwały kiedy można pomarudzić. Tak na zmianę. W owczas wymagają 100 procent uwagi, przytulenia, wszystkiego...

Najczęściej takie dni zdarzają się właśnie Laurze - śmieje się tata.

Tata „poszukiwany"

Chociaż tczewskie trojaczki nie są jednojajowe, to i tak Majka i Kuba, o ile są tak samo ubrane, trudne są do odróżnienia. Pani Kinga wciąż się śmieje wspominając żarty męża jak jeszcze byli w szpitalu. - Mąż do pielęgniarki mówi: „No dwójka jest moja, ale gdzie jest ojciec trzeciego to ja nie wiem..." i w śmiech.

Pani Kinga przyznaje, że już się nie może doczekać, jak maluszki zaczną raczkować. Początki, kiedy prawie w ogóle się nie spało, były trudne. - Teraz już opanowaliśmy system opieki nad dziećmi – mówią. - Podzieliliśmy się obowiązkami tak, żeby każde z nas miało też troszkę czasu tylko dla siebie. Teraz maluszki zaczynają już inaczej funkcjonować. Już nie przesypiają całych dni i nocy, z krótkimi przerwami na karmienie i przewijanie. Zaczyna się gaworzenie, poznawanie otaczającego świata. Chcą oglądać świat.

Tygodniowe konkursy wagowe

- Mnie ciężko jest zmęczyć, raczej jestem energiczną osobą, ale nasze maluszki potrafią mnie pozbawić sił - śmieje się pan Marcin. - Są w tej dziedzinie bardzo utalentowane. Niby byłem przyzwyczajony do pracy w różnych godzinach, ale przy dzieciach jednak trzeba było jeszcze się przeorganizować. Teraz już nam to wychodzi coraz lepiej.

- Robimy sobie konkursy tygodniowe – uśmiecha się pani Kinga. - Co tydzień ważymy każdego z naszych zuchów i patrzymy, które najszybciej przybiera na wadze. Jak dotąd, okazało się, że w tym „wyścigu" przoduje Majka, choć Kubuś i Laura też niewiele zostają w tyle.

Rodzinę wspiera Fiodor, pokaźnych rozmiarów kocur. - Fiodor potrafi przyjść do pokoju i położyć się przy dzieciach, jakby chciał nam pomóc i je popilnować. Dopiero gdy się zaczyna „symfonia", oczy robią mu się coraz większe i w końcu zmyka do kuchni, jakby pokazując, że takiej orkiestry to on nie zniesie – śmieją się małżonkowie.

Z prozaicznych problemów dnia codziennego wymieniają ten ze znalezieniem wózka - gondoli dla trojaczków. - Takich wózków nie produkuje się seriami, to pojedyncze egzemplarze. Całe szczęście, że są fundacje eko-wcześniaka i portale społecznościowe dla wieloraczków. Udało się nam skontaktować z rodziną, która przekaże nam taką gondolę z zaznaczeniem, żeby dbać o wózek i później przekazać go jakiejś innej parze, którą los obdarzy trójką maluszków. Gdyby trzeba było kupić taki wózek, to koszt jest niebagatelny, od 6000, do nawet 8000 zł.

Państwo Muńscy szukali opiekunki, kogoś do pomocy przy maluszkach, niestety, chętnych nie było. Nawet, gdy chcieli zatrudnić kogoś do pomocy w domu, przy utrzymywaniu porządku. Ogromnym wsparciem pozostaje dla nich rodzina - rodzice, bracia i bratowa, zawsze służą im pomocą.

STAROGARD GD. //

Przed nami Dobroczynny Bal Prezydencki

Prezydent Starogardu Gdańskiego Janusz Stankowiak zachęca do udziału w VI Dobroczynnym Balu Prezydenckim, który odbędzie się 5 lutego o godz. 19:00 w Restauracji Strzelnica przy ul. Brackiej 1 w Starogardzie Gdańskim.
Koszt zaproszenia to 250 zł za osobę.
W trakcie balu zostaną przeprowadzone licytacje. Zebrane pieniądze przeznaczone będą na stypendia dla zdolnych uczniów.

TCZEW //

Prawie 11 ton podarowanej żywności

Podczas Świątecznej Zbiórki Żywności organizowanej przez Bank Żywności w Tczewie udało się zebrać 10711,07 kg artykułów żywnościowych. W akcję zaangażowanych było około 200 wolontariuszy. Pięć organizacji, które włączyły się do akcji, zgromadziło 400 kg produktów żywnościowych. W gronie liderów tej formy zbiórki byli: West Rock Tczew, Powiatowy Urząd Pracy w Tczewie i Tapflo Poland.

KOCIEWIE //

Bezpłatna mammografia w Pelplinie i Tczewie

LUX MED Diagnostyka zaprasza na bezpłatne badania mammograficzne w Tczewie i Pelplinie. Mogą z nich skorzystać – bez skierowania - panie w wieku 50-69 lat. Mobilna pracownia mammograficzna będzie stacjonowała 14 stycznia w:
Pelplinie – w godzinach od 8.00 do 14.00 - przy Przychodni Pelmed, ul. Wybickiego 14;
Tczewie – w godzinach od 9.00 do 15.00 - przy markecie Kaufland, ul. Kwiatowa 17.

WEJHEROWO //

EkoFabryka zamiast zakładów drzewnych

EkoFabryka powstała w rejonie ul. Fabrycznej i Ekologicznej. To jedna z nowocześniejszych w Polsce inwestycji ekologicznych, miejsce gospodarowania odpadami, pełniące także Centrum Edukacji Ekologicznej. Kosztowała 26,5 mln zł (z dofinansowaniem UE - 13,4 mln zł). Centrum otwarte jest dla każdego, kto interesuje się ekologią, recyklingiem, odnawianiem przedmiotów i stylem życia zero waste.

ŻUKOWO //

Kolejny rok, kolejny rekord liczby mieszkańców

Padł kolejny rekord liczby mieszkańców gminy Żukowo zameldowanych na pobyt stały lub czasowy. 31 grudnia 2021 r. liczba ta wyniosła 41 743. To o 1327 więcej niż na koniec 2020 r. W 2015 r. gmina liczyła 32 332 mieszkańców, czyli o niemal 10 tys. mniej niż obecnie. - Tak duży przyrost mieszkańców to duże wyzwanie i odpowiedzialność dla samorządu – przyznaje burmistrz Wojciech Kankowski.

PUCK //

Biblioteka rozwozi książki rowerem

Biblioteka Publiczna im. Zaślubin Polski z Morzem w Pucku rozwozi książki osobom starszym nowym trójkołowym rowerem. Pojazd wspomagany jest elektrycznie i wyposażony w skrzynię do przewożenia książek. Placówka pozyskała go pisząc projekt „Kultura na kółkach". Zakłada on zwiększenie dostępności dla osób starszych i schorowanych dzięki usłudze „Książka na telefon".

Pan Kazimierz zas tanawia się, jak to w tym ro ku będzie z rachunkiem za p rąd

Olek Knitter
o.knitter@zawszepomorze.pl

CHOJNICE // Co rok wszyscy czekają, aż pan Kazimierz Knitter „od pali" oświetlenie swojego domu. Jedyny taki dom w okolicy możemy podziwiać do 2 lutego

Wyjątkowo oświetlony dom pana Kazimierza oraz jego żony Krystyny mieści się w Chojnicach przy ul. Obrońców Westerplatte. Co ciekawe, znalazł się on nawet w Google Maps jako atrakcja turystyczna. Panu Kazimierzowi, który za to „odpowiada", wcale to nie przeszkadza, a nawet cieszy się, że może tym sprawić innym frajdę. A wszystko zaczęło się 31 lat temu.

- Z żoną wprowadziliśmy się do tego domu w 1990 roku. Wówczas stroiliśmy tylko okna. Każdego roku jednak tych światełek było coraz więcej i więcej, ale robiliśmy to tylko z myślą o radości naszych dzieci, których nam tu w nowym domu przybywało. Kupowało się wtedy różne, mrugające komplety „od Rusków" na bazarze. A że kompletów było coraz więcej, to i efekt był coraz ciekawszy i już przed kolejnymi świętami nawet sąsiedzi sami się dopytywali: Kazik, kiedy będą włączone światełka – śmieje się Kazimierz Knitter.

I odwrotu nie było. Pan Kazimierz postanowił, że tradycja musi być zachowywana. Mimo że dzieci dorosły, mieszkają na swoim, to chojniczanin co roku upiększa swój dom. Oficjalne „odpalenie" światełek odbywa się zawsze w ostatnią niedzielę adwentu. Jednak aby był efekt, potrzeba sporo pracy. Pan Kazimierz z sąsiadem Sławomirem Strzałkowskim już z dwa tygodnie wcześniej rozpoczynają przymiarki.

- Wiadomo, komplety się psują, żarówki przepalają, niektóre naprawiamy, inne wyrzucamy i dla urozmaicenia zastępuję je nowymi – przyznaje pan Kazimierz. - Troszkę to kosztuje…

Temat urywamy, żeby przypadkiem za dużo szczegółów nie wyszło... Jednak co do kosztów, pan Kazimierz zastanawia się tylko, jak to w tym roku będzie z rachunkiem za prąd, gdyż tuż przed świętami gruchnęła informacja o dużej podwyżce. Na szczęście nowoczesne światełka i ozdoby są już w innej technologii, niż te pierwsze, więc zużywają trochę mniej energii, ale mimo wszystko ta przyjemność będzie odczuwalna w kieszeni.

W tym roku na domu przy Obrońców Westerplatte wisi ponad 90 różnych kompletów. Część jest oczywiście z lat poprzednich, część pan Kazimierz dokupił, trochę zestawów dostaje czasami w prezencie. Takie niedziałające komplety podrzuca mu m.in. szwagier i wtedy pan Kazimierz z sąsiadem mają frajdę, gdy uda się je „wskrzesić", czyli naprawić i powiesić.

Wyjątkowe w Chojnicach, ale też w regionie oświetlenie, można podziwiać do 2 lutego. Właściciel posesji włącza światełka po zmroku, ok. 16.00 – 17.00 i wyłącza późnym wieczorem, a przez święta i w sylwestra świecą się przez całą noc. - Nasza ulica w tym okresie powinna być jednokierunkowa, bo jest dość wąska i czasami aż się blokuje, gdy z dwóch stron ludzie przyjeżdżają samochodami, by zobaczyć dom. Widzę tu wtedy przeróżne rejestracje i to nie tylko z naszego regionu – śmieje się pan Kazimierz.

- Tu wszyscy na osiedlu czekają, kiedy te światełka rozbłysną. Jak ktoś przyjdzie do nas w gościnę, to zawsze jest zaskoczony tym widokiem – mówi sąsiad Sławomir Strzałkowski, który mieszka po drugiej stronie ulicy i wspomaga sąsiada przy montażu oświetlenia. Tacy sąsiedzi, ale widząc efekt ich pracy, na pewno nie jak ci z czechosłowackiej bajki.

Fot. Olek Knitter

Pan Kazimierz postanowił, że tradycja musi być zachowana

Fot. Olek Knitter

Dom pana Kazimierza trafił do Google Maps jako atrakcja turystyczna

REKLAMA

Artstal

Przedsiębiorstwo Produkcyjno Handlowo-Usługowe
„Artstal" s.c. Regliński Andrzej & Regliński Piotr
ul. Wolności 37B,
83-314 Somonino
Gsm. 798 254 551
Email. artstal@o2.pl

Firma Artstal na rynku od 1995 roku. Oferujemy wysokiej jakości wyroby z stali czarnej, aluminium oraz stali nierdzewnej, t.j. balustrady wewnętrzne, balustrady zewnętrzne, ogrodzenia, wyposażenie wnętrz – meble, bramy, daszki, wszelkiego rodzaju konstrukcje stalowe, renowacją zabytków. Balustrady zewnętrzne wykonywane są na własnym systemie aluminiowym.

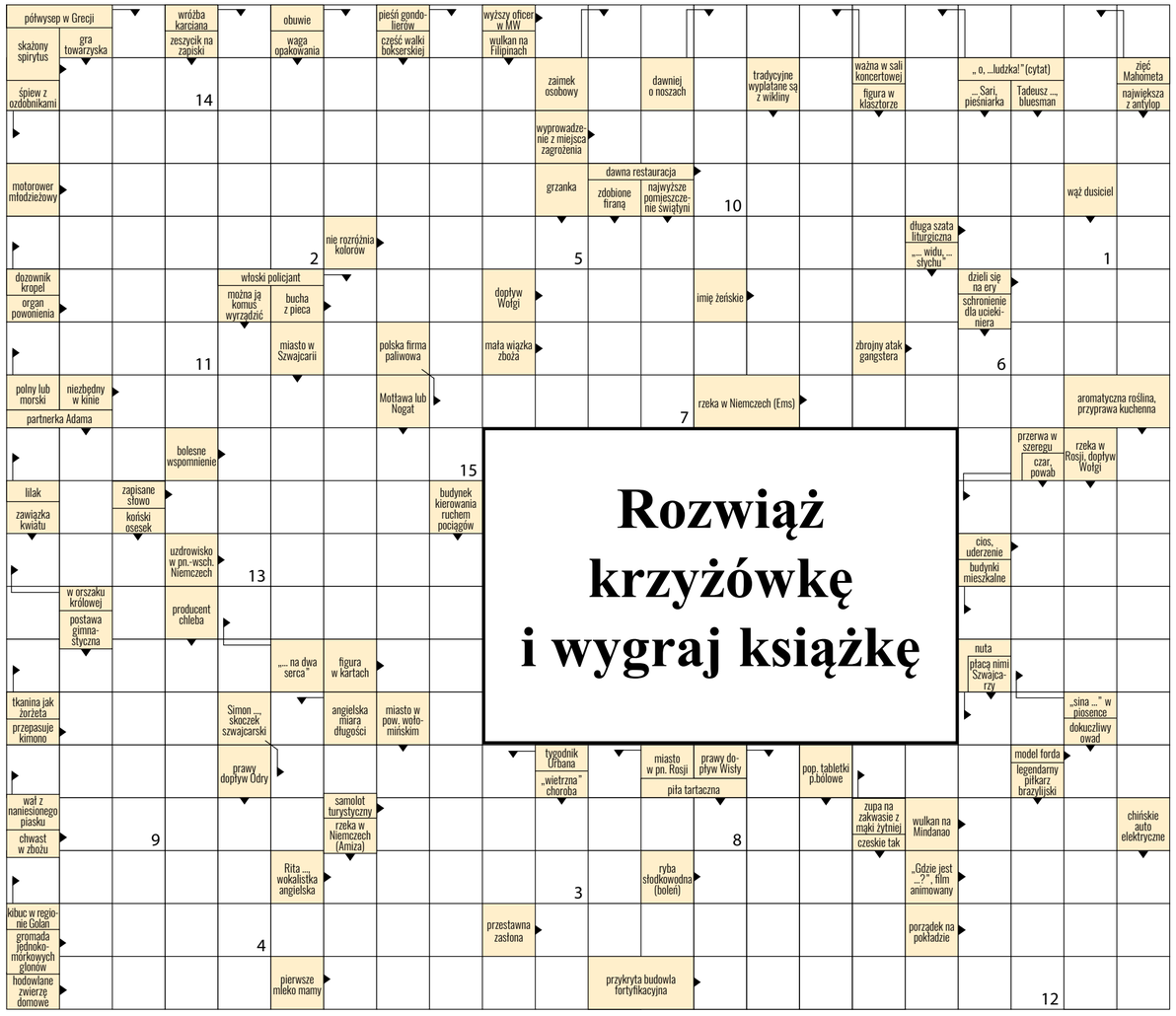

Rozwiąż krzyżówkę i wygraj książkę

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15

Litery z kratek ponumerowanych od 1 do 15 utworzą rozwiązanie

Pierwsza osoba, która wyśle SMS z rozwiązaniem krzyżówki na numer 881 711 011, otrzyma od nas książkę.

Iwona Guzowska

Była bokserka i kickbokserka, mistrzyni świata, Polski i Europy

Noworoczne postanowienia

Lista postanowień, które robimy przy okazji Nowego Roku jest chyba najdłuższą listą niespełnionych obietnic wobec siebie.

Dlaczego? I tu, ile ludzi, tyle możliwości odpowiedzi. Nie mam pojęcia, ile w tych postanowieniach jest ton niezgubionego tłuszczyku, litrów niewylanego na siłowni potu, tysięcy niewyrzuconych z życia papierosów i ile niewykonanych zadań oraz założeń.

Nowy Rok to obietnica czegoś lepszego. Nowy Rok to również zmiany. Zgodnie z życzeniami tylko na lepsze a w rzeczywistości różnie z tym bywa.

Ja nigdy nie robiłam noworocznych postanowień. Ha, jasne Iwona, bo nigdy nie paliłaś papierosów, więc nie musiałaś ich rzucać, nadwagi też nie miałaś więc nie musiałaś przejść na dietę, trenować lubisz więc z siłownią też nie masz problemów itp. Fakt, nigdy nie paliłam. Nadwagi też nie miałam, chociaż zdarzają się okresy, w których za dużo jem i później muszę ograniczać żarełko. Z wysiłkiem fizycznym też jest tak, że go uwielbiam a i tak dopadają mnie dni, że nie ćwiczę wcale i przywołuję się do porządku. Ale nie widzę powodu, dla którego z tak ważnymi dla mojego dobrego samopoczucia sprawami miałabym czekać do Nowego Roku.

Dawno temu wyszłam z założenia, że jeśli chcę coś naprawdę zmienić to robię to od teraz. Nie od przyszłego miesiąca a już na pewno nie od Nowego Roku.

Bo ani się nie obejrzycie a minie ze czterdzieści miesięcy i osiem „Nowych Roków", a wy nadal będziecie robić te same postanowienia bez żadnych efektów.

A co jeśli nie wiesz, dlaczego twoje postanowienia kończą swój żywot w chwili kiedy postawisz kropkę po zdaniu oznajmiającym twoje postanowienie? Może warto poszukać przyczyny, dla której wpadamy cały czas w ten sam schemat?

I to może być najlepsze postanowienie jakie zrobimy – znaleźć przyczynę, dla której tak trudno jest nam dotrzymać danego sobie słowa. Zanim coś nas podkusi do podjęcia kolejnego noworocznego planu warto zrobić rzetelne i odważne podsumowanie. Nie bez powodu raporty, podsumowania i remanenty robi się raz do roku. To daje przede wszystkim syntetyczny obraz sytuacji. Słupki, cyferki czy tabelki mogą być całkiem użytecznymi narzędziami do zrobienia obrazu sytuacji życiowej.

Życzę nam pięknych i otwartych relacji z ludźmi dookoła. Żeby nigdy nie brakowało nam czasu i uważności dla tych, których kochamy. Żebyśmy dbali o siebie i o innych z miłością, akceptacją i radością.

Życzę nam wszystkim, w tych ciekawych i dziwnych czasach, żebyśmy nie bali się zmian, bo z każdej można wyciągnąć chociaż jedną dobrą rzecz. Zmiany, bez względu na to, czy oczekiwane, czy te których na pewno byśmy sobie nie życzyli są nieodłączną częścią życia. Nie ma magicznego zaklęcia, które je zatrzyma. Dzieją się i już. Możecie mnie zapytać, czy je lubię? Z pewnością nie wszystkie, ale jeśli nie mam na nie żadnego wpływu akceptuję je gdy się dzieją. Niektórym zmianom z ciekawością się przyglądam, na inne trzeba mocno zareagować, działać, więc tak robię, przynajmniej się staram. Przyznaję, z różnym skutkiem. Są też takie zmiany, których nie zauważam od razu i takie, które spadają na głowę, nagle, jak grom z jasnego nieba, wywracając mój świat do góry nogami. Jednak zazwyczaj, po pewnym czasie jestem w stanie dostrzec, że były mi potrzebne, że czegoś więcej się o sobie i świecie nauczyłam.

Bierzmy życie za rogi i jeśli chcemy coś zmienić to róbmy to TERAZ i bądźmy w tym odważni i nieugięci. To skuteczna droga do realizacji najśmielszych planów, nawet na miarę mistrzostwa świata (coś o tym wiem...)

Tak po prostu, życzę nam wszystkim Dobrego Nowego Roku 2022!

Zygmunt Zmuda-Trzebiatowski

przez 5 kadencji radny miasta Gdyni, w tym jej przewodniczący

Gdyńskie centrum dowodzenia

TAK – GDYNIANIE SĄ DZIWNI. Zakochani w swoim mieście, niezgadzający się na wrzucanie go do worka pod nazwą „Trójmiasto", bardzo z niego dumni. To gdyńskie dziwactwo obserwowane jest z mieszaniną podziwu i zdumienia, bo, choć lokalny patriotyzm jest w cenie, to skąd taki afekt? Niełatwo to zrozumieć, jeśli nie jest się z naszego miasta. Mamy to w swoim kodzie genetycznym.

Widziałem tę fascynację u uczestników kolejnych edycji konkursu wiedzy o Gdyni, który prowadziłem przez kilka lat, w tym licealistów, którym udział w konkursie nie dawał żadnych punktów czy szans na indeks – a chcieli uczestniczyć. Widziałem tę miłość do miasta u dorosłych, biorących udział w odrębnym konkursie, którego finał prowadziłem z Tadeuszem Sznukiem. Ten znany prowadzący zwykle nie zgadza się na takie akcje, ale na słowo „Gdynia" zareagował inaczej. Widziałem tę niezwykłą miłość pracując dla Franciszki Cegielskiej, ikony Gdyni, jednej z osób, które ją wybrały jako swoje miejsce.

Bo chyba sedno tej silnej emocji jest właśnie w wyborze, którego kiedyś dokonaliśmy: my albo nasi przodkowie, przyjeżdżając w to konkretne miejsce, by zaczynać wszystko od nowa, tak jak zupełnie od nowa zaczynało to miasto. I wybieramy je nadal, nawet drobnymi gestami. Ja, choć urodzony jestem w Gdańsku, co ciągle wypominam rodzicom, świadomie wybrałem, by moje córki jako miejsce urodzenia miały Gdynię, mimo że wtedy szpital redłowski nie był dobrym miejscem dla rodzących mam. Mogąc mieszkać wszędzie, wybrałem Chylonię, bo będąc stamtąd pięciokrotnie wybierany do rady miasta Gdyni uznałem, że należy mieszkać w tym okręgu, który reprezentuję, by dobrze go rozumieć, czuć i kochać tą trudną, chropawą miłością. I kochamy to miasto, bo jest dla nas symbolem tego, że można, że wszystko jest możliwe – to opowieść o miejscu, ale przede wszystkim o ludziach, którzy zaczynali od zera, którzy dokonywali wyboru, podejmowali decyzje i brali swoje losy w swoje ręce. To opowieść o marzycielach i realistach.

Czy to znaczy, że skoro w badaniach jakości życia Gdynia jest na pierwszym miejscu, to kochamy ją bezkrytycznie? Oczywiście, że nie. Gdy komuś zależy, patrzy uważnie i widzi, co może być lepsze, trafniejsze, rozsądniejsze. Gdy ktoś jest zaangażowany - chce rozmawiać. Z tą uczciwą partnerską dyskusją w ostatnich latach jest u nas kiepsko, a zamknięte w wieży z kości słoniowej władze chyba nieszczególnie ją cenią. To, oczywiście rodzi frustrację, krytykę, często także nadmiarową. Ale warto pamiętać, że to nadal wyraz troski o swoje miasto i miłości do niego. Komu jest obojętne, ten nie krytykuje. Ja, będąc mocno krytycznym w stosunku do tego co w ostatnich latach wyrabia gdyńska „Samorządność" i prezydent Szczurek, swoje miasto kocham i zależy mi na nim bardzo, dlatego staram się zabierać głos.

W swoich felietonach spróbuję opowiadać o Gdyni, tak by gdynianie mogli się czasem w tym odnaleźć, a ludzie znajdujący się poza gdyńskim centrum zarządzania wszechświatem – choć odrobinę zrozumieć, dlaczego tak mamy i dostrzec w tym wartość. Bo nasza miłość i duma nikomu nie umniejsza. Bo nasz szacunek dla cudu, jakim było powstanie Gdyni, nie odbiera tego szacunku innym. Bo dziś, gdy brakuje powodów do dumy, warto wracać do momentów, gdy cała Polska miała z czego być dumna. Bo wreszcie w czasach, gdy straszni się wściekamy i dzielimy, warto szukać pozytywnych, łączących opowieści. Zatem co dwa tygodnie zapraszam do naszego dziwnego, ale przesympatycznego świata.

AUTOPROMOCJA

Zawsze Pomorze
NIEZALEŻNY TYGODNIK REGIONALNY

TO MIEJSCE CZEKA NA CIEBIE!

NIE WIESZ JAK?

Zawsze PomorzeMY

PRESS

Globus Polski

W kwestii przełykania

Dariusz Szreter
d.szreter@zawszepomorze.pl

Publicysta, sekretarz redakcji „Zawsze Pomorze”

Polacy zasługują na najlepszych artystów - pod tym hasłem telewizja Jacka Kurskiego reklamowała swój koncert sylwestrowy. I już tu na wstępie trudno mi się oprzeć pierwszej dygresji. Czy zauważyli Państwo jak nam się w ostatnich latach spersonalizowały różne byty publiczne? Trybunał Julii Przyłębskiej, TVP Jacka Kurskiego, prokuratura Zbigniewa Ziobry, Polska Jarosława Kaczyńskiego… O pardon, co to, to jeszcze nie. Przynajmniej póki my żyjemy.

Wróćmy jednak do „zasłużonego” koncertu w Zakopanem. Ponieważ od dawna już mam wrażenie, że nie zasługuję na to, co serwują mi media narodowe, niespecjalnie zainteresowałem się ich sylwestrowym menu. Bez emocji przyjąłem więc informację, że główną gwiazdą wieczoru będzie Jason Derulo, szczególnie że wcześniej w ogóle nie słyszałem o tym wykonawcy. Ale to specjalnie nic dziwnego. O istnieniu Zenka Martyniuka też dowiedziałem się dopiero kilka lat temu, kiedy czytelnicy jednego z tabloidów wybrali go artystą 25-lecia. Zresztą gotów jestem iść o zakład, że sam Jacek Kurski też nie miał pojęcia kim jest Derulo, dopóki ktoś z współpracowników nie wpadł do jego gabinetu z okrzykiem: „Szefie mam mega gwiazdę na sylwestrowy koncert! Taniocha, powinniśmy się zamknąć w milionie”. A już na pewno nie miał pojęcia o czym ten amerykańsko-haitański idol w swoich przebojach śpiewa. Najwyraźniej czekistowska czujność zawiodła tym razem prezesa. A przecież wystarczyło zajrzeć na stronę tekstowo.pl. Już pobieżna lektura tłumaczenia kawałka pt. „Swalla” (slangowa forma czasownika to swallow – połykać) powinna zapalić czerwone światełko w głowie szefa telewizji, która tydzień w tydzień przez pół niedzieli nadaje programy religijne.

Tak, wiem że ojciec Leon Knabit, benedyktyn i zarazem kościelny autorytet w sprawach ars amandi, dopuszcza seks oralny, ale jedynie w sakramentalnym małżeństwie, i to wyłącznie jako element gry wstępnej. Tymczasem Derulo w refrenie zachęca wyraźnie: „Wszystkie dziewczynki tutaj, jeśli czujecie się spragnione, chodźcie i weźcie łyk, bo wiecie, co zaserwuję”. Również inne piosenki Jasona doprawdy trudno uznać za lansujące wartości rodzinne i wpisujące się w misyjność publicznego nadawcy. Już prędzej misjonarskość. A swoją drogą wydaje się, że ta koszarowa liryka bardziej na miejscu wybrzmiałby na koncercie „Murem za polskim mundurem”, zamiast smętów Jana Pietrzaka.

Co ciekawe, kiedy już mleko się rozlało, okazało się to nie prezes Kurski zawstydził się zaproszeniem Derulo. Przeciwnie to Amerykanin, pod wpływem komentarzy fanów, uznał występ u Kurskiego za obciach i usunął z Instagrama wcześniejszy wpis zapowiadający udział w Sylwestrze Marzeń. Za to TVP trudniej będzie wymazać fakt, że wykorzystała swoje programy informacyjne do autopromocji koncertu. Do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wpłynęło kilka skarg za to, że 29 grudnia główne wydanie Wiadomości poświęciło temu wydarzeniu ponad połowę czasu antenowego – 18 minut. W sumie nic dziwnego: w kraju drożyzna, inflacja, Polski Ład wysypał się na dzień dobry - obcinając pensje nauczycielom i policjantom, pieniędzy z Unii wciąż nie ma, porozumienia w sprawie sądów – też, pandemia zbiera śmiertelne żniwo, sprawa użycia Pegasusa przeciw opozycji niepokoi nawet zwolenników PiS, a w obozie rządzącym coraz wyraźniej rysują się pęknięcia. Ciekawe jak długo TVP uda się nie dostrzegać tych wszystkich problemów? A raczej jak długo jej widzom uda się nie dostrzegać, że telewizja opisuje jakąś rzeczywistość alternatywną? Bo chyba musi i u nas być jakaś granica kłamstwa, po przekroczeniu której więcej nie da się przełknąć (by odwołać się do poetyki gwiazdy Sylwestra Marzeń), skoro jest ona nawet w Kazachstanie.

O muzyce nade wszystko

Freak

Stanisław Danielewicz
redakcja@zawszepomorze.pl

Wykładowca historii i literatury współczesnego jazzu

Kim jest „freak”? Słowniki podają różne tłumaczenia. Za najlepsze uważam „napaleniec”, „zakręcony”, „świrus”. Słowa te muszą być jednak nacechowane podziwem i sympatią. „Freak” nie działa z pobudek merkantylnych, nie idzie mu (lub jej) o poklask. Działa dla idei, i ma talent, by nią zarażać innych.

Jedną z moich ulubionych „freaks” jest „baronowa jazzu”, Pannonica Rothschild de Koenigswarter, pochodząca z bogatej żydowskiej rodziny, która porzuciła swoje rodzinne konekse finansowe i przewidywalne życie, by w czasach ekspansji be-bopu (ale też w czasach ostrej segregacji rasowej w USA) podążyć za pasją, wywołaną wysłuchaniem Round Midnight Theloniousa Monka. W roku 1954, będąc już dojrzałą kobietą, uznała, że życie, jakie dotychczas wiodła (całkiem niezwykłe – w czasie wojny wykonywała niebezpieczne misje zwiadowcze dla aliantów) nie było skrojone na jej miarę. Rozpoczęła je od nowa – a symbolem przemiany stał się wielki Rolls Royce, którym woziła po Nowym Jorku największych jazzmanów. Muzycy dedykowali jej wiele kompozycji: od Pannonica, napisanej przez Monka, po Nica's Dream Horace Silvera czy Thelonica Tommy'ego Flanagana. Jej życie, które bankierska rodzina starała się jak mogła ukryć przed światem, znalazło opis w pasjonującej książce „Baronowa jazzu”, napisanej przez Hannah Rothschild. W internecie znaleźć można film dokumentalny, poświęcony postaci Niki.

To tak na marginesie spotkania z człowiekiem, który również jest członkiem drużyny „zakręconych”.

W trakcie ogłaszania wyników konkursu literackiego „Pokolenie Solidarności” w grudniu ub. roku zetknąłem się z jednym z laureatów, Kazimierzem Wosiek. Okazało się, że nie tylko działał przeciwko totalitarnej władzy i był wydawcą pism „Rezonans”, „Solidarność Olsztyńska”, a także olsztyńskiej edycji „Solidarności Walczącej”. Równoległy życiorys prowadził go bowiem od młodzieńczych fascynacji rockiem lat 60. do podsumowania wciąż pogłębianej wiedzy niezwykłym, choć niedokończonym dziełem „Mrok w ro(c)ku”. Wosiek, obdarzony talentem operowania językiem zwięzłym, trafiającym w punkt, nie stroniącym od wyrazistych kolokwializmów, postanowił opisać bohaterów rockowej (głównie) sceny zarówno polskiej, jak światowej, posługując się kluczem daty śmierci artysty, przyporządkowanej kolejnym miesiącom roku. Namawiałem autora, by pracę kontynuował, bo obecny zapis (obejmujący zaledwie styczeń) i skondensowaną formą, i pełną dociekliwości treścią może okazać się prawdziwą bombą na rynku, który – wydawałoby się – o rocku i jego legendach wie już wszystko. Obiecał, że spróbuje.

Na razie proponuję drobną próbkę. Wybrałem do tego mały fragment opisu sylwetki Jacka Oltera, wybitnego trójmiejskiego perkusisty:

6 styczeń 2001. Jacek Olter (właśc. Jacek Tomaszewicz), ur. 19.01.1972.

[...] W 2006 została wydana płyta Jacek Olter, zawierająca nowe utwory powstałe w oparciu o archiwalne ścieżki perkusyjne Oltera, wykonywane z udziałem kilkudziesięciu różnych artystów. Był to hołd złożony przez jego środowisko muzyczne. Do zachowanych cudem nagrań z sesji zespołu Kury zaprzyjaźnieni muzycy dograli swoje partie. W rezultacie z Olterem na płycie zagrali ci, którzy z nim współpracowali, współpracować chcieli, albo o współpracy z którymi myślał sam Olter. Wydanie takiej płyty było jego marzeniem, do czego nieraz się przyznawał w rozmowach z zaprzyjaźnionymi muzykami. Do płyty CD dołączona została płyta DVD zawierająca film dokumentalny Olter w reż. Krystiana Matyska oparty na materiałach archiwalnych. To przejmująco opowiedziana historia życia wybitnego muzyka, połączona z reportażem na temat powstawania samego albumu. Dwupłytowy box, zawiera również archiwum fotografii i teledyski oraz zapis audycji Radia Gdańsk pt. Koncert bez Jacka, która składa się z rozmów z muzykami i relacjami z koncertu, poświęconemu muzykowi. Odbył się on w Sfinksie, niedługo po pogrzebie perkusisty.

Otworzyła się w tym momencie klatka pamięci, z zapisem pasjonującej historii trójmiejskiego jazzu, pod nazwą „jass”. O niej więc kiedyś przyjdzie zapewne wspomnieć.

Prawo wyboru

Zbigniew Canowiecki
z.canowiecki@wp.pl

Prezydent Pracodawców Pomorza

Każdy z nas podejmuje w życiu tysiące decyzji korzystając z przysługującego każdemu człowiekowi prawa wyboru dokonywanego w oparciu o swoje doświadczenie, ocenę sytuacji i przewidywane skutki. Podczas minionych Świąt Bożego Narodzenia w wielu polskich domach w których zagościły dzieci, wnuki, bracia i siostry mieszkające na stałe poza granicami naszego kraju dyskutowano o powrotach, kiedy i czy w ogóle. Dla jednych istotne jest bezpieczeństwo ekonomiczne oraz stabilność prawa i zasady prowadzenia biznesu, dla innych swobody obywatelskie i szacunek dla inności. Każdy, na szczęście, ma prawo wyboru miejsca na świecie gdzie chce mieszkać i pracować. Mieliśmy jednak nadzieję, że Polacy będą wracać ponieważ po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej rozpoczął się proces wyrównywania szans i możliwości rozwojowych. Od 2004 roku otrzymujemy corocznie kilkukrotnie więcej pieniędzy niż wpłacamy do unijnej kasy, a zasady funkcjonowania naszego państwa zostały oparte na wspólnych europejskich wartościach. Mimo tego coraz trudniejsze jest jednak przekonywanie bliskich do powrotu.

Z kolei przedsiębiorcy mają prawo wyboru w zakresie inwestowania swoich zysków w rozwój firmy lub konsumpcję, zadowalając się uzyskanym wcześniej poziomem produkcji i sprzedaży. Niestety inwestycje własne przedsiębiorstw są w Polsce od kilku lat na bardzo niskim poziomie. Powodem tej sytuacji nie jest z pewnością tylko pandemia. Przyczyną, jak sami mówią, jest niepewność prawna i podatkowa wynikająca chociażby z wdrażanego Polskiego Ładu, spadek wartości polskiej złotówki, galopująca inflacja, rwące się łańcuchy dostaw drożejących surowców i półfabrykatów. Ponadto wpływ na decyzje mają zawirowania polityczne w wyniku sporów z Unią Europejską, gigantyczne kary nałożone przez TSUE oraz kolejne afery typu mailowa czy podsłuchowa, a nawet nieskrywane spory wewnątrz rządu. Jeżeli do tego dodamy fiasko Narodowego Programu Szczepień i nieporadność rządzących we wdrażaniu obostrzeń pandemicznych co skutkowało, zdaniem wielu ekspertów, największym u nas poziomem umieralności na milion mieszkańców w wyniku Covid-19, to niepewność co do przyszłości zniechęca przedsiębiorców do aktywności inwestycyjnej.

A propos pandemii. Każdy ma prawo wyboru. Może się zaszczepić lub nie. Słucha wypowiedzi między innymi rządzących, kościoła, mediów i swoich bliskich. Słyszy od polityków o jakimś mitycznym genie sprzeciwu, który podobno posiadamy. Zastanawia się, dlaczego przedstawiciele kościoła kluczą w tej sprawie. Ulega fałszywym informacjom internetowym. Traci wiarę w racjonalność faktów podawanych przez ekspertów. Jeżeli nastąpiła w Polsce erozja zaufania do państwa, rządzącym politykom udokumentowano kłamstwa, a niektórzy posłowie demonstrują pseudowolnościową niechęć do przestrzegania zasad pandemicznych, to nie może dziwić katastrofalny dla nas efekt akcji szczepień. Polka, od wielu lat pracująca naukowo w Wielkiej Brytanii, w wywiadzie telewizyjnym opowiadała o promocji szczepień prowadzonej w tym państwie przez pozarządowy ośrodek w oparciu o autorytety naukowe i zaufanie do lekarzy, skutecznie przeciwstawiając się dezinformacji i szerzeniu ciemnoty.

Cieszmy się więc prawem wyboru, ale w momencie kiedy jadąc samochodem zatrzyma nas policjant stwierdzając przekroczenie szybkości ocenimy czy podjęliśmy słuszną decyzję. Obecnie bowiem w imię naszego i innych bezpieczeństwa nakładane są horrendalnie wysokie mandaty, ale podobno w imię wolności obywatelskiej państwo nie może wprowadzić obowiązkowych szczepień i skutecznie egzekwować obostrzeń sanitarnych.

AUTOPROMOCJA

WESPRZYJ NAS, ABY MIEĆ WYBÓR!

Zawsze Pomorze
NIEZALEŻNY TYGODNIK REGIONALNY

Wesprzyj
ZAWSZE POMORZE
regularnie!

Nasz portal internetowy
i tygodnik regionalny
tworzone są
przez dziennikarzy i Czytelników.
Wesprzyj nas, aby mieć wybór,
alternatywę i dostęp
do obiektywnej, wiarygodnej
i rzetelnej informacji.
Bez propagandy!
Zachęcamy do przekazywania
darowizn tradycyjnym
przelewem bankowym – dane
do przelewu podajemy poniżej.
Prosimy o ustawienie stałego,
comiesięcznego zlecenia.
Dlaczego warto?
Bo my zawsze będziemy
się kierować dobrem ludzi
tu mieszkających i troską
o utrzymanie wolności słowa.
Zawsze po Waszej stronie.

DOŁĄCZ DO WSPIERAJĄCYCH

PRESS
Zawsze Pomorze
NIEZALEŻNY PORTAL REGIONALNY

NUMER KONTA: 29 1090 1098 0000 0001 4897 6794

TYTUŁ PRZELEWU: DAROWIZNA

REKLAMA

Airport City Gdańsk

new business destination

BIURA DO WYNAJĘCIA

+ 48 58 350 62 62

www.airportcitygdansk.pl

JLL®

GDANSK LECH WALESA AIRPORT